

Fijałkowski, Dominik

Droga do wiedzy i stopni naukowych : (autobiografia)

Analecta 6/2(12), 205-260

1997

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej Bazhum, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych tworzonej przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie ze środków specjalnych MNiSW dzięki Wydziałowi Historycznemu Uniwersytetu Warszawskiego.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



DROGA DO WIEDZY I STOPNI NAUKOWYCH (Autobiografia)

Rodzina

Urodziłem się 14 marca 1922 r. we wsi Huta Borowska, gm. Chodel (jako syn Jana i Marianny). Mała wioska liczyła około 25 rodzin, miała ponad 100 mieszkańców. Dziś jej stan nie powiększył się. Przybyło tylko więcej nowych i obszerniejszych budynków. Nazwa wsi Huta Borowska wywodzi się od huty szkła, która była zlokalizowana przy budynkach moich rodziców i sąsiada. Leżało tu bardzo dużo różnych kolorowych odłamków i brył szklistych, którymi często bawiliśmy się. Nazwa „Borowska” wywodzi się od dużej wsi i dworu „Borowa”. W odległości 200 m – w środku wsi był dość duży, naturalny staw. Tam chodziliśmy bawić się kijankami i dojrzałymi żabami. Zimą było to wspaniałe lodowisko. Staw zginął całkowicie po ostatniej wojnie.

Ojciec zajmował się rolnictwem, gdyż było 7 ha piaszczystej ziemi. Dobrze rosły żyto, owies, ziemniaki. Na tzw. „grzędę” (domowa uprawa warzyw) oraz pszenicę i jęczmień. Ojciec wybierał nieco dalej od domu położone lekkie rędziny na wzniesieniach pól. Miał też kuźnię, w której obsługiwał rolników swojej wioski oraz z wiosek sąsiednich.

Najczęściej nakładał żelazne obręcze na drewniane koła wozów, podkuwał lemiesz do pługów, wstawiał zęby do drewnianych bron, klepał kosy, wykuwał i przybijał podkowy koniom, a także wyrabiał korby do zamykania drzwi w oborach i chlewach. Korby były niemożliwe do podrobienia, gdyż każdy egzemplarz miał niepowtarzalny układ gwintów. Nigdy już nie widziałem tak skutecznych zamknięć korbowych. Wkrótce jednak powołany został przez rząd carski do wojska, na okres 10 lat. Opowiadał później jak jechał na wojnę japońską (1905 r.) koleją transsyberyjską wspinając się przez góry wzdłuż jeziora Bajkał. Żołnierze wychodzili z wagonów na spacer, bowiem jazda była miejscami bardzo wolna. Opowiadał również, jak w „Port Artur” ginęła flota rosyjska na minach założonych przez Japończyków. Brał też udział w wojnie z Turkami oraz w wojnie światowej. Byłem wstrząśnięty informacją, jak wojska rosyjskie falami nacierały z bagnetami

na okopy Turków. Silnie zbudowani Turcy bronili się przebijając Rosjan i przrzucając bagnetem na drugą stronę okopów. Pchnięci bagnetem przez Rosjan Turcy chwyтали za karabin przeciwnika, by ochronić w ten sposób przed ciosami innych swoich kolegów. Turków w końcu odrzucono, Ojciec oglądał stopy martwych i konających żołnierzy, niemal wyłącznie rosyjskich. Mimo, że przez 10 lat nosił karabin, nie wystrzelił z niego ani razu. Pracował bowiem w oddziałach saperkich. Otrzymał kilka medali za odwagę przy rozbijaniu min i budowie mostów „wśród gradu kul”. Wrócił po zakończeniu pierwszej wojny światowej.

Dom został spalony w czasie przesuwających się frontów niemieckich i rosyjskich. Mama z dziećmi zamieszkała w domu babci – Joanny Gierej. W krótkim czasie postawiono drewniany dom (fot. 1), który po latach spróchniał i został rozebrany po drugiej wojnie światowej.

Tuż po zakończeniu pierwszej wojny Ojciec pobrał od swoich rodziców spadek. Proponowano mu ruble w złocie, doszedł jednak do wniosku, że są one zbyt ciężkie i wołał je wziąć w papierach. W krótkim czasie nie mógł dostać za nie jednej pary butów. Pozostał tylko majątek po dziadku Giereju, który był bardzo bogatym oficerem węgierskim. Miał łącznie ponad 30 ha ziemi. Poza rolnictwem przewoził końmi Żydów na bliskie i dalekie jarmarki.

Przy okazji zbierał różne odmiany owoców i zaszczepiał je w swoim ogrodzie. Pozostawił duży sad z około 10 odmianami jabłoni; 7 – grusz, nadto kilkoma odmianami śliw. Rozdzielił ziemię pomiędzy 4 córki, pieniądze przekazał dalszej swojej rodzinie. Żona dziadka Joanna pochodziła z kolonistów niemieckich „Pautów”. Była bardzo zaradną gospodynią. Z liczego rodzeństwa, jeden z jej braci był lekarzem medycyny, a osiedlił się w Rosji. Babcia przejęła od niego znajomość roślin leczniczych i znała ich działanie uzdrawiające. Odwiedzały ją często różne gospodynie, gdyż ziół leczniczych było zawsze dużo na strychach oraz w „sieniach”. Przez kilka lat (około 1930 r.) dużo dyktowała z pamięci na temat nieba, piekła – sporo też na ten temat sama rysowała. Całe zwoje tych pism wędrowały do księdza i tam ślad po nich zaginął. Ogłaszała wówczas, że jeżeli będzie zamordowana przez Żydów, to jej ofiara zabezpieczy ich przed zagładą ze strony Hitlera.

Babcia dysponowała prawie całym dużym sadem owocowym. Szczególną uciechę sprawiały nam wizyty u babci, gdyż nawet w okresach zimowych obdarowywała nas jabłkami. Gdy zabrakło świeżych wyciągała je z beczki z kwaszoną kapustą. W takim stanie również bardzo smakowały.

Zawód kowala miałem kontynuować po ojcu. Będąc chłopcem w wieku przedszkolnym często obsługiwałem duży miech z drągiem do podsycania koksu. Ojciec często robił zamki do luf karabinowych, które gromadził między deskami w stodole. Dla zdobycia prochu rozkręcał w imadłach duże bomby. Z nich oraz miedzianych łusek wykuwał naczynia. W czasie rozbrojenia bomb, przynoszonych przez różnych gospodarzy wypędzał mnie z kuźni. Pełnił przez wiele lat funkcję softysa, gdyż z tego pokolenia na wsi tylko on umiał pisać i czytać.

Dziadkowie ze strony ojca – Stanisław i Marianna z Tyszków z Biłgoraja zajmowali się rolnictwem. Rodzina mojego ojca wywodziła się z rodu Fijałkowskich mieszkających w okolicach Radomia. Prawdopodobnie wywodzi się od nich druga linia rodowa będąca w Lublinie. Odwiedził ją Ojciec, gdy zwolniono go z wojska w 1939 r.

Rodzina nasza składała się z sześciorga dzieci: Adela, Alfons, Bernard, Marian, Dominik i Zofia. Najstarsza z 6-osobowego rodzeństwa – Adela urodziła się w 1907 r. ukończyła tylko 4 klasy Szkoły Powszechnej w Trzcincu. Nie miała chęci do nauki. Nie odpowiadała jej codzienna czterokilometrowa wędrownia do Chodla, gdzie były klasy V –VII. Nadto musiała pomagać rodzicom w domu, zwłaszcza przy wychowywaniu młodszego rodzeństwa. Wyszła za mąż za J. Giżę w Ratoszynie. Ma dwóch żonatych synów (córka zmarła w wieku 18 lat). Adela prowadziła gospodarstwo rolne, aktualnie jest na emeryturze, mieszka w Kolonii Ratoszyn.

Alfons urodził się w 1910 r. To postać o wielkiej indywidualności. Chyba jedyny w wiosce, który ukończył wówczas pełną szkołę powszechną w Chodlu. Rodzice chcieli, aby uczył się na księdza. Wstąpił do seminarium duchownego w Lublinie. Po roku zakończył edukację, gdyż rodzice nie mieli pieniędzy. Pracując na roli wszystkie wolne chwile poświęcał czytaniu książek i gazet o treści rolniczej, ogrodniczej i religijnej. To on podniósł efektywność gospodarstwa. Materialnie było nam lepiej, mimo że rodzice spłacali długi zaciągnięte na wiano Adeli i kupno kawałka ziemi. Mogliśmy już jeść na obiad często pęczak na mleku z pszenicy i lemieszkę (gotowaną mąkę z wodą z dodatkiem słoniny). Na święta mógł Ojciec kupić ćwiartkę świni lub zabić własną. Kiedy w 1935 r. dostałem się do szkoły ogrodniczej w Kijanach, brat Alfons mi zazdrościł. Pragnął wznowić przerwana naukę w Seminarium Duchownym w Lublinie i zostać księdzem. Z tą myślą wstąpił do Zakonu Jezuitów. Odwiedziłem go przed wojną w dużym majątku jezuickim w Dąbrowicy koło Lublina. Jako „Brat zakonny” wierzył, że tą drogą osiągnie cel. Prowadził z powodzeniem ogrodnictwo. Księża Jezuici byli z tego bardzo zadowoleni. Miał do pomocy innych „Braci” i służbę ogrodniczą. W późniejszym okresie przeniesiono go do Pińska. Kiedy wkraczali Sowietnicy wszyscy zakonnicy uciekali pieszo w sutannach. Kilkakrotnie dosięgały ich grupy ukraińskie; grozili zabiciem. Tylko dzięki sutanom i dużym przy nich krzyżom ocaleni. Wrócili do Lublina bocznymi drogami, bowiem bitymi – jechały czołgi. Ostatnie ich kolumny widzieli jeszcze po prawej stronie Wieprza w Kijanach. Po krótkim pobycie w domu wrócił do zakonu Jezuitów – do Bobolanum przy Alejach Racławickich w Lublinie (obecnie szpital wojskowy). Po powrocie z Niemiec tam go zastałem. Gdy władze komunistyczne całkowicie odebrały im własność, przeniósł się do Kalisza. Stracił już nadzieję na zostanie księdzem, postanowił opuścić zakon i wstąpił na studia na Wydziale Rolniczym w Lublinie.

Miał kłopoty z egzaminem z botaniki. Przerwał studia i został nauczycielem chemii w Liceum w Krzywdzie koło Łukowa. Ożenił się i zamieszkał w Jeleniej

Górze, jako nauczyciel w Liceum. Wznowił studia we Wrocławiu i tam uzyskał tytuł magistra inżyniera.

Bernard urodził się w 1913 r. był jednym z dwóch we wsi absolwentów pełnej 7-mio klasowej szkoły powszechnej w Chodlu. Za rządów Witosza zorganizował koło „Wici”. Z młodzieży Huty i sąsiednich wiosek wybrano go na sekretarza i przewodniczącego „Wici”. Organizował on też prace przy zakładaniu sadów, sprowadzaniu zarodowych zwierząt hodowlanych. Nadto przy urządzaniu przedstawień wiejskich. Będąc chłopcem, kilka razy uczestniczyłem w tych imprezach. Witos został odsunięty od władzy, okrzyknięty za groźnego komunistę. Niektórych działaczy „Wici” podobno aresztowano, a koła te zostały zlikwidowane. Kiedy Bernarda powołano do wojska, służył w oddziale konnych ciężkich karabinów maszynowych w Hrubieszowie. Za przynależność do komunistycznego „koła „Wici” był prześladowany. Dostawał najtrudniejsze konie do ćwiczeń. Opowiadał, że wiele razy koń go zrzucił ze swojego grzbietu. Wrócił z wojska załamany, milczący i daleki od zdrowia psychicznego. Do domu zaglądała bieda, gdyż wierzyciele zabierali cały dochód na procenty. Później brat Bernard powołany został ponownie do wyzwolenia Zaolzia. Za swój udział otrzymał pierwszeństwo do uzyskiwania stanowisk urzędniczych II stopnia. Ożenił się w Ratoszynie i prowadził gospodarstwo rolne.

Brat Marian urodził się w 1919 r. Ukończył – tak jak wszyscy bracia 7-mio klasową Szkołę Powszechną w Chodlu. Cały czas pracował w domu rodzinnym, krótko pomagając Adeli w Ratoszynie. W czasie II wojny światowej ożenił się w Grądach. Przez cały okres wojenny brał czynny udział w Armii Krajowej. Po skończonej wojnie przechowywał w ziemi pistolet, o czym powiadomiono UB – wówczas został aresztowany. Opowiadał, że kopano go po nerkach, a łokciami po szyi. Gdy krwią broczył przez usta i nos zabrano go do Lublina. Sąd wojskowy skazał go na 5 lat więzienia. Na Śląsku przebywał rok, potem 2 lata w kopalni węgla kamiennego. Te dwa lata policzono podwójnie i po 3 latach wrócił do żony i dzieci. Był załamany i panicznie bał się UB.

W późniejszym okresie zapisał się nawet do PZPR. Zrobił wiele dobrego dla swojej miejscowości (Grądy), bowiem doprowadził do społecznego wybudowania drogi bitej z Ratoszyna do Grądów.

Siostra Zofia urodziła się w 1925 r. Nie miała ambicji do nauki. Ukończyła tylko 4 klasy w Trzcińcu. Dopiero po okupacji dokończyła edukację w zakresie szkoły podstawowej. W czasie okupacji ona jedynie prowadziła uprawę roli. Rodzice byli już niedołęzni, a bracia mieszkali poza domem. Urodziła pięcioro dzieci i wraz z nimi uciekła od niegodziwego męża do Wałbrzycha. Pracowała w kopalni, wychowując dzieci. Gdy dzieci dorosły wróciła do rodzinnego domu, aby pomagać niedołęznej już Mamie. Po śmierci mamy Zofia rozebrała butwiejący dom rodzinny i budowała obok zakupiony inny stary dom. Pozostała tylko murowana piwnica, do której wchodziło się z kuchni.

Początki edukacji

Wyraźną świadomość życia miałem w wieku 2–3 lat. Czułem się dobrze w korycie i zawieszanej na drągu płachcie (kojcu). Kiedy już chodziłem rodzice zabrali mnie do kościoła w Chodlu. Pamiętam potężne 2 dęby przy wejściu do lasu „pańskiego” – właściciela Jeżowskiego.

W wieku przedszkolnym pasłem już dwie krowy rano i po południu na ścierniskach, w lesie lub na powrozie wzdłuż drogi śródpolnej, w sadowie i na miedzach. Kiedy rano spostrzegłem dym z komina, to był znak że gotuje się śniadanie i muszę zaprowadzić krowy do obory. Nie chciały tego i często przyklekały na przednich nogach – nie miałem siły ich ciągnąć. Kiedyś zobaczyła Mama kłęczące przede mną krowy i nie mogła wyjść ze zdumienia, gdyż czegoś podobnego w życiu nie widziała.

Mama gotowała posiłki 3 razy dziennie; rano barszcz z ziemniakami kraszonymi słoniną, w południe kaszę, a na kolację – również ziemniaki i barszcz. Ponieważ kolacja przygotowana była późno, kładłem się w butach do łóżka. Na kolację byłem budzony. Często tak się najadałem ziemniakami, iż z trudnością zdejmowałem z nóg obuwie. Rosłem jednak szybko i byłem stosunkowo gruby. Spałem w rozsuwanym na noc łóżku na sienniku ze słomy żytniej. Co kilka miesięcy była ona zmieniana. W łóżku spałem wraz ze starszymi braćmi, leżąc po środku między nimi – Bernardem i Alfonsem, jednakże gdy ten ostatni przebywał w seminarium duchownym, lub w zakonie Jezuitów zastępował go brat Marian. Mama spała w podobnym łóżku początkowo z najstarszą córką Adelą, a później (po wyjściu jej za mąż) z najmłodszą Zofią. Ojciec spał oddzielnie na łóżku żelaznym z siennikiem wypchanym słomą.

Wszyscy nosili koszule „zgrzebne” – szyte przez Mamę z grubego płótna lnianego, które dostawała w Chodlu od Żydów w drodze wymiany na nici lniane. Nici te przędły Mama, potem Adela na zgrabnym kołowrotku. W okresie zimowym często zbierały się u nas sąsiadki, które przędły nici nie kołowrotkiem, lecz długim – do około 40 cm – wrzecionem.

W całej wsi plagą były wszy zarówno głowowe, jak i odzieżowe. Pojawiły się one we włosach Mamy i sióstr, stąd niemal nagminne było „iskanie” i wygniatanie zarówno dorosłych wszy jak i gnid. Powszechnie stosowano moczenie głowy octem i wyczesywanie owadów. Dzieci zbyt zawszone odsyłane były do domów. Często były też pchły. Nauczycielka w szkole przeglądała głowy, nierzadko zaglądała pod kołnierz koszuli. Pamiętam, jak pewnego ranka zbudził mnie łoskot w uchu. Wówczas z przerażenia rozplakałem się, a Mama ze spokojem wlała mi do ucha naftę, zabijając pchlę. Nafta służyła w domu nie tylko do oświetlenia lampowego, ale również do nacierania przy chorobach brzucha oraz przeziębieniach. Przy różnego rodzaju schorzeniach Mama piła naftę, ale nie wiem w jakich ilościach. Chyba dzięki tej nafcie nikt nie chorował, także nie znaleźmy grypy, ani innych schorzeń wynikających z przeziębień. Może też dzięki tej nafcie Mama

przeżyła 95 lat mimo, że była kobietą drobną i z wiekiem przygarbioną od fizycznej pracy.

Największymi przeżyciami w domu były Święta Bożego Narodzenia i Wielkanoc. Już tydzień przed Bożym Narodzeniem Mama gniołła ciasto, a my (głównie bracia) robiliśmy pierożki do wypieku. Często było ich blisko 20 rodzajów ze śledzi, owoców, maku, soczewicy, kapusty kwaszonej, owoców południowych (figi, rodzynki), suszonych czereśni dzikich, suszonych śliwek, jabłek i innych często mieszanych ze sobą produktów.

Każdy rodzaj pierożka miał swoją formę, zwykle powtarzającą się w różnych latach. Pierożki trwały najdłużej – często do jednego miesiąca nawet wówczas, gdy nie było już placków pieczonych w brytwankach i innych produktów przyrządzanych na noc wigilijną: gołąbków, bigosu, barszczu z buraków ćwikłowych i klusek z makiem. Wszystko to było całkowicie bez mięsa i na oleju lnianym, rzadko kiedy rzepakowym. Zawsze przed świętami Ojciec kilka kilogramów lnu woził do Chodła, a tam Żydzi wyciskali z tego olej. Makuchy dostawały zwierzęta domowe. Olej rzepakowy jadaliśmy tylko w okresach największego ubóstwa, gdyż był ciężko strawny. W drugi dzień Świąt można było zjeść nieco mięsa. Pojawiało się ono zwykle w postaci kiełbasy, dwa razy w roku na święta. Starczało go zwykle nie dłużej niż na dwa dni.

Na skutek przejedzenia się potrawami mącznymi w okresie świąt miałem często dolegliwości żołądkowe – „zgaę”. Atakowała mnie ona i w późniejszym okresie, gdy w stołówkach akademickich i uniwersyteckich zjadałem drugie danie polane „sosem” z niedopieczonej lub niedogotowanej mąki.

Jednocześnie z przygotowaniem pierożków robiliśmy różne ozdoby na choinkę. Choinką była młoda sosna, którą przynosił Ojciec z naszego, pobliskiego lasu. To trwało zaledwie kilka lat po pierwszej wojnie światowej. Ojciec bowiem wykonał z drutu trwałego „pajaka”. Wieszaliśmy go u sufitu i ubieraliśmy zrobionymi przez siebie zabawkami; łańcuchami, kwiatami oraz innymi ozdobami papierowymi. Pajak miał chyba z 4 piętra drutów – najwyższe było małe, a najniższe – największe i odpowiednio powykręcane. Każde zakończenie miało nasadę na świeczkę. W sumie było około 40 takich zakończeń ze świeczkami. Krótco przed wigilią przynosiliśmy 2 snopy słomy żytniej, którą pokrywaliśmy podłogę. Zabawy rodzeństwa w tej słomie i dzieci sąsiadów nie miały końca; trwały blisko miesiąc. Jednego roku w czasie spożywania potraw wigilijnych zapalił się „pajak”. Ojciec „w mgnieniu oka” zerwał go z sufitu i wyniósł do kuchni bez słomy na podłogę i ugasił ogień. Aż strach pomyśleć co by było, gdyby nie błyskawiczna reakcja ojca. Pajak był bowiem obwieszony papierowymi ozdobami, a słoma w pokoju roznieciłaby ogień na cały dom. W inne lata byliśmy już ostrożniejsi przy zakładaniu świeczek.

Wieczera wigilijna składała się wyłącznie z potraw postnych i słynnej kutii (mak, miód, moczona i pozbawiona plew pszenica, rodzynki, suszone owoce), kompotu z suszonych owoców i gotowanych pierożków z grzybów, gołąbków z kaszy

jałganej (z prosa) smażonych na oleju lnianym i śledzi. Nie było nigdy świeżych ryb. Prawie co roku na wieczerzę wigilijną proszeni byli sąsiedzi i kuzyni.

Pewnego wigilijnego wieczoru zjawił się „dziad”, prosząc o nocleg. Ojciec jako sołtys zwykle wyznaczał kolejno noclegi u poszczególnych gospodarzy. Tym razem zrezygnował z tego przywileju. Zatrzymał biedaka w domu, przyniósł snop słomy do drugiego pokoju, a Mama dała mu przykrycie. Zjadł wieczerzę wigilijną zgodnie ze zwyczajem katolickim i odszedł następnego dnia.

Zapraszano się według ustalonej kolejki: rodzina zapraszająca jeden raz powtarzała to zaproszenie po kilku latach w zależności od liczby zapraszanych rodzin. Rolę pierwszych gospodarzy zapraszających pełniły kolejno różne rodziny. Po takim całonocnym obżarstwie miałem następnego dnia gorączkę z powodu dolegliwości żołądkowych. Nocą młodzież chodziła 4 km do Chodla na pasterkę. Święta Wielkanocne były znacznie skromniejsze. Z potraw mącznych były tylko placki pieczone w brytwannach; nadto bigos i jakiś lepszy obiad z mięsem, czy też kawałkiem kiełbasy. Wielkanoc to raj dla dzieci. Przygotowywaliśmy z grubszych odgałęzień bzu czarnego sikawki. Przez wydrążony świdrem środek wprowadzony był korek z otworem i stempel. Jeżeli taka sikawka była większa, to można było dosięgnąć nią na odległość kilkunastu metrów. Rano drugiego dnia Świąt oblewaliśmy pojawiające się dziewczynki, następnie biegliśmy do rodziców chrzestnych i kuzynów, którym ostrożnie sikawką oblewaliśmy tylko buty. Otrzymywaliśmy za to kilkadziesiąt groszy, ale najczęściej placki, pierogi, rzadziej cukierki. Natomiast gdy było nieco cieplej z kolegami tworzyliśmy dwie przeciwstawne grupy i przez płot laliśmy przeciwników sikawkami dość obficie. Kto miał lepszą sikawkę zwykle zwyciężał. Nam Ojciec pomagał przy sporządzaniu tych sikawek, toteż nasze łały najdalej i najobficiej. Po paru godzinach zabawa ustawała i nikt się nie obrażał, a wyczerpani „zawodnicy” szli na obiad. Kawalerowie nie używali sikawek lecz wiader. Jeśli któraś z dorosłych panien została oblana, to była z tego powodu bardzo zadowolona, gdyż wróżyło to rychłe wyjście za mąż. W normalnych dniach świątecznych oraz w niedzielę życie toczyło się jak w dni powszednie. Latem należało paść krowy rano i po południu. Do kościoła zwykle uczęszczałem na poranną mszę, bowiem nie lubiłem być w tłumie i po sumie przechodzić wzdłuż szpalery „kawalerów” ubranych w spodnie z „kantem”. Toteż do kościoła chodziłem i wracałem samotnie. Latem buty nakładałem przed Chodlem i po wyjściu z tej osady. Wracając do domu szosą z kamienia kredowego, spotykałem grupy ludzi udających się na sumę. Bogatsi gospodarze jechali wozami na żelaznych obręczach, ale przejazd drogą z głębokimi „żłobinami” w kredowej nawierzchni nie należał do przyjemności.

Niezapomniane wrażenia odbierałem w ciepłe wiosenne wieczory. Starsza młodzież spacerowała po wsi śpiewając różne piosenki. Corocznie odbywały się przed naszą figurą majówki. Prawie zawsze w nich uczestniczyłem, słuchając jednocześnie głośnego rechotu żab w pobliskim stawie. Figurę wystawił jeszcze mój dziadek, a Ojciec po powrocie z wojny obłożył krzyż wielkimi głazami.

Gdy jednak dobrze płacono za kamienie do budowy drogi, Ojciec je porozbijał, aby zdobyć nieco pieniędzy. Jednocześnie zrobił drewniany płotek. Kiedy przyszły jeszcze większe lata kryzysu, Mama i sąsiedzi uznali, że to Pan Bóg mści się za zabrane głązy spod figurki.

Okres przedszkolny i szkolny miał swoje uroki. Zimą jeździliśmy na łyżwach po lokalnych rozlewiskach. Były to drewniane podkłady z zamocowanym drutem lub brzegiem kosy. Ojciec odpowiednio przycinał starą kosę i zaginał po dolnej stronie drewnianego podkładu. Umocowanie łyżew robiliśmy sami. Czasami wykonywaliśmy sami narty, one jednak nie sprawiały nam takich przyjemności jak łyżwy, gdyż były ciężkimi deskami, nieco wygiętymi i niezbyt śliskimi, chociaż smarowaliśmy je woskiem. Najczęściej do zabawy zimowej używaliśmy dużych sanek, którymi przewoziliśmy wodę w beczce z odległości około 200 m ponieważ nasza studnia była płytka i często wysychała. Natomiast po roztopach wiosennych woda była blisko powierzchni i można ją było czerpać bezpośrednio wiadrem.

Na sankach tych zjeżdżaliśmy gromadnie z małego wzniesienia – skarpy położonej przy kuźni. Gdy rodzice uważali, że ta zabawa trwała zbyt długo, przywoływali nas do domu na odrabianie lekcji. Latem były inne zabawy. W okresie przedszkolnym i w pierwszych latach uczęszczania do szkoły, wolne chwile poświęcałem zabawie z grupą chłopców i dziewcząt.

Najczęściej bawiliśmy się w „pakora” – zbijanie kijem patyka i odbieranie rzuconych kijów od pilnującego ich „pakorzysty”. Częstymi zabawami były „podchody”, w chowanego, piłka zaś była tylko w szkole – nikt nie miał bowiem pieniędzy na jej kupno.

Kiedy już można było chodzić boso robiliśmy z chłopakami wyprawy do lasu. Wdrapywaliśmy się na młode (40 letnie) sosny z gniazdami. Były tam jaja ptasie, niekiedy wyskakiwały z nich wiewiórki. Dwa razy na młodnikach chwytałyśmy je i zabierali do domu. Następnie były karmione, a po oswojeniu wypuszczaliśmy je do ogrodu. Zawsze przychodziły i bawiły się z nami. Z czasem jednak nie wracały. W innych wyprawach przynieśliśmy młodego zajączka, którego pilnowaliśmy przed naszym kotem. Pewnego wieczoru kot chwycił zajączka, a Ojciec mu go odebrał łapiąc kota za grzbiet, zajączek zaś uciekł do dużego pokoju. Po kilku dniach w czasie naszej nieobecności w domu obserwowaliśmy taką scenkę; kot siedział na szczycie łóżka i miaczał, a zajączek skulony pod łóżkiem. Wówczas zrozumieliśmy, iż kot bał się zajączka po przebyłym zdarzeniu. Zajączek przebywał u nas całą zimę, wyrósł i wiosną wypuszczony był na „dwór”. Przez dłuższy czas wracał, potem jednak już się nie pojawił (podobnie jak wiewiórka). Przez kilka miesięcy przebywał u nas również jeź.

Rodzice widząc moje zainteresowanie zwierzętami pozwolili na chodowanie królików oraz gołębi. Ojciec zrobił mi kilka gołębników i z czasem powstało stadko złożone z kilkunastu sztuk. Królików wyhodowałem też kilkanaście. Niekiedy Ojciec zabijał któregoś z nich na obiad.

Drogą wymiany królików otrzymałem kotną matkę rasy „angorskiej”. Miała chyba tylko 4 młode. Chciałem aby były dobrze wykarmione. Widząc, jak ślepe jeszcze króliczki odwracają się na grzbiet, aby ssać mleko matki, stawiałem je do pozycji odwrotnej. Młode po kolei wszystkie pozdychały.

Dopiero później dowiedziałem się, że nie można ingerować w pozycję ssania małych królików. Wszystkie te hodowle i zabawy skończyły się całkowicie z odejściem do szkoły ogrodniczej w Kijanach.

Okresowo miałem też zainteresowania „artystyczne”. Chciałem grać na skrzypcach. W tym celu z deski wyciąłem format skrzypiec, zrobiłem wkrety do strun i odpowiednie podstawki. Smyk do grania wykonałem z włosia końskiego ogona. Także jedna ze strun była zrobiona z włosia, a inne kupowałem w Chodlu. Wiosną wraz z kolegami robiliśmy fujarki z wierzby.

Mając 6,5 roku byłem fizycznie dobrze rozwinięty i wykazywałem zainteresowanie nauką. Rodzice stwierdzili, że mogę iść wcześniej do szkoły. Zaprowadziła mnie najstarsza siostra i powiedziała, że mam 7 lat, a metrykę urodzenia dostarczy wówczas, gdy ją otrzyma od organisty. Później długie miesiące byłem zadęczany, gdyż nauczycielka stale prosiła o moją metrykę. Pierwsza lekcja w 4-ro klasowej Szkole w Trzciancu była straszliwie nudna. Wreszcie zadzwonił dzwonek na przerwę. Myśląc, że to „koniec lekcji” wybiegłem z radością do domu. Wołano na mnie, lecz tym szybciej biegłem. Mama była zdziwiona, że tak szybko wróciłem. Dopiero na drugi dzień nauczycielka z uśmiechem wyjaśniła mi mój błąd (przy ogólnym śmiechu dzieci), że dzwonek oznaczał pauzę, a nie koniec zajęć szkolnych. W pierwszej klasie była wizyta księdza, wtedy dowiedziałem się, że nasza pani jest „Dąbrówka” – urodzoną w Dąbrowie Górniczej.

Pamiętam też pierwszą wizytę inspektora z Lublina. Nauczył nas pierwszej w życiu piosenki „Chociaż nie skończysz ciągle rób, ciebie nie dzieło zamknie grób”. Dopiero po latach zrozumiałem sens tego wiersza i piosenki zarazem.

Przy tej samej wizycie po raz pierwszy poczułem się wyróżniony i jednocześnie upokorzony wobec 2 klas, które nauczycielka prowadziła w jednej izbie (pokoju). Inspektor bowiem mówiąc o młynach, zapytał gdzie znajduje się młyn wodny w okolicy. W obu klasach nikt o nim nie wiedział. Widziałem taki młyn na rzece Chodelce, zgłosiłem się – mówiąc, że znam taki młyn na „Frysierce”. Inspektor mnie poprawił, upominając iż źle wymawiam – prawidłowo należy mówić „Fryszlerce”. Kazał mi powtarzać 10 razy, lecz ani razu nie mogłem tej nazwy wypowiedzieć prawidłowo. Był mocno zdenerwowany i na mnie zakończył naszą edukację.

Przypominam sobie takie zdarzenie, gdy nauczycielka wbiła w swoją dłoń stalówkę mojej obsadki podczas bicia mnie w głowę za błąd w zeszyście. Często biła mnie i inne dzieci w dłoń linijką za różne przewinienia. Niekiedy też niektóre dzieci musiały klęczeć przed tablicą, ewentualnie zostawać po lekcjach w „kozio”.

Pamiętam, jak byłem zaskoczony, gdy mówiła o konieczności mycia rąk przed każdym posiłkiem, a także myciu dwa razy dziennie zębów itp. Były to czynności nigdy nie praktykowane na wsi.

Prawie codziennie przed lekcjami i po ich zakończeniu odmawialiśmy pacierz, po czym urządzaliśmy krótkie przedstawienia – „Tam za Wisły doliną siedziała dziewczyna, była piękna jak różany kwiat...” Krakowianką była zawsze jedna piękna, okrągła na buzi Barbara Białkowska z Trzcianca. Zmieniali się królewicze i kaci krakowianki. Tylko ona wzbudzała we mnie jakiś odruch zainteresowania i marzeń. Często odbywały się przedstawienia szkolne na koniec roku i przy okazji nie znanych mi uroczystości. Zawsze miałem w nich jakąś rolę, gdyż potrafiłem nauczyć się na pamięć dłuższych tekstów.

Chyba w pierwszym roku mojej edukacji wybraliśmy się z nauczycielką do pobliskiego lasu. Ktoś z uczniów znalazł kwitnącą, fioletową sasanę. Byłem zaskoczony tak osobliwym kwiatem, gdyż nie widziałem go w lasach, gdzie pasłem krowy. Nazwę rośliny podała nauczycielka i nigdy już jej nie zapomniałem. Mój niepokój w tym czasie i moich braci wzbudzała inna roślina rosnąca stale w jednym miejscu na polu uprawnym. Miała wysokość około 0,5 m i mimo orki stale odrastała. Bracia nazywali ją zielem diabelskim, gdyż w pachwinach liści miała „ślinę”, a w niej wydłużone żółtawe larwy, określone przez nas jako diabełki. Najstarszy brat postanowił ją zniszczyć – kopał do głębokości 3 m w marglu kredowym. Po 3 latach znowu odrosła. Kiedy już na studiach przypominałem sobie o niej, stwierdziłem z wielkim uznaniem, że jest to powojnik prosty (*Clematis rekta*) roślina podlegająca ochronie gatunkowej. Dziwne to, bo najbliższe stanowiska tej rośliny oddalone są o około 40 km (koło Nałęczowa i Kazimierza). Później, po zastosowaniu herbicydów zginęła całkowicie.

W drugim roku nauki nauczycielka zorganizowała wycieczkę wozem konnym na obręczach do Lublina (około 40 km). Pojechaliśmy na 2 wozach jednokonnych. Jeden z koni gospodarza Krzeszowskiego był jednak bardzo słaby (a właśnie nim jechałem), toteż przyjechaliśmy z 2 godzinnym opóźnieniem.

Zwiedzaliśmy jakieś muzeum. Naszym koniem wróciliśmy późno w noc, gdyż niemal całą drogę szliśmy pieszo, senni i wyczerpani. Koń odpoczywał coraz częściej nawet bez ciężaru dzieci. Była to pierwsza i ostatnia wycieczka szkolna w Trzciancu. Uczyłem się dalej dość dobrze i wreszcie nauczycielka nie zadrezczała mnie metryką urodzenia. W tym okresie było w domu bardzo biednie. Sroga zima w latach 1929–1930 dała się szczególnie we znaki. Nosilem stale dziurawe kamasze; zszywał mi je często sąsiad. Podeszwy niejednokrotnie odłaziły nadziane szpilkami jak paszcza krokodyla, związywałem je sznurkiem lub drutem. Marżyły mi nogi, toteż płakałem z zimna. W domu powtarzający się „przednówek” objawiał się brakiem chleba, słoniny do kartofli, często miałem anginy, ale na lekarza nie było nas zupełnie stać.

Pamiętam też, jak któregoś miesiąca w pierwszej klasie starsi koledzy kupowali po kryjomu butelkę oranżady i wspólnie ją wypijaliśmy. Tak smacznego trunku

nigdy w życiu nie piłem. Przyszła jedna kolejka zakupu oranżady na mnie. Nie wiedziałem, skąd wziąć na to pieniądze. Rodzice by mi nigdy ich nie dali. Wycho-
dząc do szkoły wstąpiłem do kurnika i zabrałem dwa jajka. Kiedy już mijałem nasz
dom wyszła Mama i odebrała mi zdobycz. Byłem wstrząśnięty tym złodziejstwem.
Od tamtej pory nie zdarzył mi się jakikolwiek przypadek kradzieży, jeśli nie liczyć
pracy w czasie okupacji w Niemczech, kiedy ukradkiem zjadałem owoce, warzy-
wa, ziemniaki, buraki i inne produkty nadające się do bezpośredniego spożycia.

W słoneczne południe chodziliśmy grupą chłopaków do Borowa nad rzekę
Chodelkę. Z jej brzegów można było wyciągać raki. Było ich sporo w ciepłych
„norach”. Zimne dziury były prawdopodobnie siedliskiem węży, stąd też należało
szybko wyciągać rękę. Chociaż zdobycz była łatwa, lecz mięsa było tak mało, że
nie wybierałem się chętnie na połowy.

W czteroklasowej szkole zgodnie z programem należało chodzić do klasy III
przez 2 lata, a w klasie IV przez 3 lata. Po pierwszym roku IV klasy udałem się do
siedmioklasowej szkoły w Chodlu.

Szkoła Powszechna w Chodlu

Moja droga do szkoły w Chodlu była długa (4 km). Od wsi prowadziła droga
śródpolna (1 km), przez las (0,5 km) oraz szosą (2,5 km). Kilku uczniów z Cupli,
Budzynia i Siewalki szło jeszcze dłużej, ponad 6 km.

Byłem jednak zadowolony, gdyż nie musiałem już powtarzać nudnego progra-
mu. Do szkoły chodziłem po śniadaniu złożonym zawsze z zabelonego mąką
barszczu i ziemniaków ze słoniną. Nigdy nie dostawałem kanapek. Gdy więc
w szkole organizowano dla biednych dzieci śniadanie zazdrościłem im, że mogą
spożywać smaczny chleb ze szklanką mleka. Czasami udało mi się wyłudzić 5 gro-
szy od rodziców na kupno w piekarni świeżego i bardzo smacznego chleba. Do
Chodla chodziło nas z Huty początkowo 4 osoby: mój starszy brat Marian i Wacław
Czuryszkiewicz, mieszkający blisko moich rodziców, a z przeciwległego końca
wsi dziewczyna Janina Suska. Gdy mój brat zakończył edukację, do szkoły
chodziło nas troje. Czasem spotykaliśmy się w lesie i szliśmy razem do Chodla.
Las należał do „Pana” – właściciela ziemskiego w Jeżowie. Jeździł na koniu i czę-
sto zawracał nas z drogi. Wówczas odcinek do szkoły wydłużał się o co najmniej
1 km. Prosto ze szkoły szybko wracałem do domu. Byłem głodny i czekały na mnie
krowy, które musiałem paść.

Pasienie krów rano i po południu zwalniało mnie z innych dodatkowych
obowiązków. W czasie wakacji musiałem przygotować paszę przy użyciu ręcznej
sieczkarni z dużym zamachowym kołem, zbierać do tego chwasty i ścielić oborę,
chlewnię i stajnię. Prawie stale był jeden koń, czasami ze źrebkiem, 2 krowy,
niekiedy z cielęciem, 3–4 świnie. Na sporządzonym przez ojca młynku korbowym
trzeba było czyścić zborze i młócić cepami. Nierzadko międliliśmy słomę lnianą
obrywając przy tym torebki lnu na dużych, drewnianych grzebieniach.

Nigdy jednak nie pracowałem koniem w polu. Czynność tę wykonywali bracia lub Ojciec. W zasadzie nie lubił on tej pracy i chętnie przebywał w kuźni.

W okresie żniw uczyłem się rżnąć zboże sierpem. Kiedyś mało nie odciąłem sobie palca; innym razem za stodołą bronilem się sierpem przed pszczołami, którym Ojciec pobierał miód. Na widok strugi krwi z mojej zranionej głowy Mama zemdłała. Do dzisiejszego dnia zostały szramy po tej obronie sierpem.

Na pastwisko brałem z sobą 1–2 książki i uczyłem się pasąc krowy. Ołówkiem zaznaczałem w książce ważniejsze zdania, daty, nazwiska, miasta. W domu nanosiłem to na kartki i powtarzałem idąc do szkoły. To stało się przełomem w mojej edukacji. Sposób zadawania pytań przez nauczycieli zmuszał mnie do myślenia i zerkania na dłoń pod ławką. Wkrótce stałem się dla niektórych nauczycieli wszechwiedzącym. Byłem nawet karany za podpowiadanie.

Nauczyciel geografii z V klasy powiedział przy końcu roku szkolnego, że dostanę dwójkę za podpowiadanie i nie będzie mnie więcej pytał. Obawiałem się tego bardzo. Gdy kilku uczniów zostawił w „kozio” za niezajomość materiału, postanowiłem również zostać, mając jednak nadzieję, że nauczyciel zmieni o mnie zdanie i zacznie mnie pytać. Był zaskoczony moją decyzją i pytał mnie wszystko, czego nie wiedzieli koledzy i koleżanki. Dostałem ocenę bardzo dobrą.

W V klasie historii oraz śpiewu uczył nas Miller – prawdopodobnie pochodzenia niemieckiego. Prawie połowę uczniów stanowili Żydzi (np. wg alfabetu Ajchental Nachmen, Ajchental Majer, Brokstein Szmul, następnie Fedorowicz i dopiero Fijałkowski). W czasie lekcji śpiewu prowadzonej przez Millera dostawało się niekiedy Żydom po głowie smykiem od skrzypiec. Inni nauczyciele w Chodlu nigdy nie bili uczniów. Miller często też strofował Żydów w czasie odmawiania przez katolików pacierza. W czasie lekcji historii powiedział „szkoda, iż Kazimierz Wielki sprowadził ich do Polski”. Żydzi wówczas podjęli starania w kuratorium w Lublinie mające na celu usunięcie go ze szkoły. Przyjechało na przesłuchanie kilka osób. Był przy tym kierownik Szkoły Ząbek – zaśluzony w walkach „Orląt Lwowskich”. Zatrzymano wszystkich uczniów, którzy mieli zajęcia z Millerem i pojedynczo przesłuchiowano wszystkich Żydów. Nauczyciela Millera z końcem roku zwolniono.

Na początku V roku utkwiała mi lekcja z przyrody. Nauczycielka mówiła o roślinach i o ich zasuszaniu w zielnikach. Nie wyjaśniła tego bliżej i przez długie lata myślałem, co to jest „zielnik”.

Pod koniec roku szkolnego język polski miała nauczycielka Sośnicka. Znała już moje możliwości z przygotowania na pamięć różnych wierszy z programu szkolnego. Stąd na urodziny Prezydenta Ignacego Mościckiego, kazała przygotować kilkukartkowy życiorys z „Płomyka”. W czasie uroczystości w Remizie Strażackiej w Chodlu było pełno młodzieży, poseł i inni urzędnicy gminy. Poseł przedstawił nieudolnie i krótko życiorys Prezydenta, co wywołało u nauczycielki wahanie o celowości mojego wystąpienia. Życiorys powiedziałem wspaniale.

Nauczycielka z radości płakała, a mnie dyrektor Ząbek podał rękę, mieszkańcy zaś Chodla patrzyli na mnie z powagą.

Pod koniec roku myślałem o służbie kapłańskiej. Rodzice kazali mi zanieść słoje miodu z naszej pasieki, aby ksiądz poparł moją sprawę. Słoje miałem zabrać z powrotem, bowiem w ich oczach kosztował więcej niż miód. Złożyłem wszystkie dokumenty do Niepokalanowa; nie zostałem jednak przyjęty.

Szkoła Ogrodnicza w Kijanach

Uzyskując świadectwo ukończenia 7-mio klasowej Szkoły Powszechnej w Chodlu miałem uczucie zadowolenia z osiągnięcia podstawowego etapu edukacyjnego. Nie chciałem jednak na tym poprzestać. W 1935 r. wyszło ogólnopolskie zarządzenie, że jeden najlepszy absolwent szkół podstawowych będzie mógł dalej się uczyć na koszt gminy. Takim właśnie uczniem byłem w Chodlu i stąd otrzymałem odpowiednie oświadczenie na piśmie z gminy. Chciałem iść do szkoły ogrodniczej. Już po egzaminach wstępnych Ojciec przywiózł mnie do średniej Szkoły Ogrodniczej w Kijanach. Dyrektor szkoły Mościcki ucieszył się zobowiązaniem gminy, a mnie zaraz przy Ojcu zrobił egzamin z botaniki. Wyliczyłem mu bezbłędnie rośliny chronione oraz drzewa szpilkowe rosnące w Polsce. W kilka dni później zdałem jeszcze egzamin z matematyki i chyba z fizyki. Od tej pory skończyły się na zawsze moje utrapienia z krowami. Czasami pozostaje tylko zły sen o nich. Zamieszkałem w luksusowej bursie i miałem 4 razy w ciągu dnia obfity posiłek. Byłem zadowolony z nauki i życia. Dwie godziny dziennie poświęcał mi pracę w ogrodzie. Rodzice kupili mi granatowy garnitur i płaszcz z niebieskimi szlakami; nadto czapkę szkolną.

Beztraska nie trwała jednak długo. Gmina nie wypłaciła ani grosza od początku aż do końca mojego pobytu w tej szkole. Rodzice pieniędzy też nie mieli. Dostawałem jednak stypendia ze szkoły, z powiatu, lecz wielokrotnie kazano mi przerwać pobyt w tej szkole. Było takich biedaków kilku. Niejednokrotnie wałęsaliśmy się, gdyż na powrót do domu nie było też pieniędzy. W końcu przyjmowano nas ponownie.

Lata 1936–1939 były okresem niepokojów międzynarodowych. Gorąca atmosfera panowała w czasie konfliktu z Litwą. Przez radio skandowano „na Kowno”... Kilkunastu starszych wiekiem uczniów zapisało się na ochotnika do wojska. Później „na Zaolzie”. Wówczas miałem tylko 16 lat, przygotowanie z przysposobienia wojskowego i obóz harcerski w Puławach. W ostatnim roku proszono mnie o przyjęcie funkcji drużynowego Przeciwopozarowej Drużyny Harcerskiej. Brała ona tylko raz udział w gaszeniu pożaru. Mieliśmy toporki, kaski, pasy i ręczną pompę dwustronną, którą trzeba było przenosić na kółkach.

Na drugim roku nauki dyrektor szkoły zaproponował mi wyjazd na obóz harcerski do Wólki Profeckiej koło Puław. Był to ciekawy, męski obóz harcerski. Obozowaliśmy wśród lasu na brzegu doliny Wisły.

Mimo kłopotów pieniężnych i najmłodszego wieku, ogólny wynik z ukończenia szkoły ogrodniczej w 1939 r. był dobry. Ceniłem i lubiłem zwłaszcza nauczycieli: Zaharszuka, Wiśniewskiego, Szmida, Mościckiego, Farenholca i Urbańskiego – późniejszego prof. zwyczajnego w Lublinie (zaraz po wojnie) i Poznaniu. W szkole tej było bardzo dużo wysoko wykwalifikowanych ogrodników. Kilku z nich miało pochodzenie niemieckie Zyber, Farenholc, Szmidt. Nauczyciel Szmidt pochodził z Nadrenii. Dostał od naszych władz „Złoty Krzyż Zasługi”. Gdy żołnierze niemieccy weszli do Ogrodu w Kijanach, próbował ich wyprosić, za co został ciężko pobity. Niedługo potem zmarł i został pochowany na cmentarzu w Kijanach.

Wśród uczniów było też wielu Niemców. Jeden z nich, Kryczko nosił mundur hitlerowski – zginął prawdopodobnie na froncie wschodnim. Było też kilku Ukraińców. Jeden z nich, Marcinkowski poległ w bitwie morskiej na polskim statku w służbie angielskiej. Kilku innych uczniów (np. Tomaszewski, Kotliński) walczyli pod Monte Casino i do dziś mieszkają w Anglii. Jeden z kolegów, Domański był w obozie oświęcimskim. Opowiadał o swoich ciężkich przeżyciach. Wyjechał na ziemie zachodnie. Tam został zabity przez „podziemie” niemieckie.

Rodzice zamówili mi u Żyda czarny garnitur godny ówczesnego absolwenta szkoły średniej.

W Biurze Pośrednictwa Pracy w Lublinie zgłosiłem chęć podjęcia pracy. W tym też czasie wybuchła wojna. Do wojska powołano Ojca do podkuwania koni wojskowych. Po zbombardowaniu koszarów został zwolniony. Nad Hutą Borowską przelatywały klucze srebrnych niemieckich bombowców – atakując Lublin. Dwukrotnie obserwowałem zza drzew walki powietrzne myśliwców z bombowcami; było kilka strąceń. Dziwiłem się, dlaczego nie walczą często latające nasze samoloty dwupłatowe. Dopiero po obejrzeniu walki szybkich myśliwców jednopłatowych uzmysłowiłem sobie, że dwupłatowce nie nadają się do walki. Przed wojną w każdą niedzielę chodziłem przez las na Mszę Św. do Chodla. Około połowy września idąc, jak zwykle w niedzielę do kościoła stwierdziłem dziwną ciszę i brak ludzi na szosie. Gdy wyszedłem z lasu tuż przy szosie zobaczyłem czołówkę wojsk niemieckich na samochodach, motocyklach oraz w kolumnach pieszych maszerujących szosą w kierunku Lublina. Wracać nie mogłem, gdyż sądziłem, że mogą uciekającego po prostu zastrzelić. Wszedłem więc na szosę i przez 3 km do Chodla przeszedłem prawą stroną wzdłuż całej kolumny. Układałem w myśli ewentualne odpowiedzi w języku niemieckim. Języka tego uczył nas w Kijanach nauczyciel Urbański, późniejszy profesor zwyczajny Uniwersytetu Poznańskiego. Nie byłem jednak zaczepiany przez Niemców, może dlatego, iż zdążyłem w kierunku terenów już przez nich zajętych bez walki.

Po ukończeniu szkoły w Kijanach nie przestawałem myśleć o dalszej nauce. Droga była jednak bardzo trudna. Mogłem co najwyżej starać się do pierwszej klasy licealnej szkoły rolniczej w Sobieszynie koło Dębina, tam też złożyłem potrzebne dokumenty. Jednocześnie złożyłem w pośrednictwie pracy w Lublinie

podanie o pracę. Zboże w 1939 r. kosiliśmy już kosą i szło to nawet sprawnie. Urodzaj był stosunkowo duży, czego efektem była mała sterta za stodołą. Obficie urodziła się gryka. Kiedy zaczęła się wojna, Ojciec nakazał wykopanie schronu przeciw pociskom. W drewnianych skrzyniach zakopywaliśmy poza budynkiem sporo zboża, a przede wszystkim gryki, ponieważ Ojciec obawiał się głodu. Na apel władz polskich sporo zboża, a zwłaszcza prosa i gryki zawiózł bezpłatnie brat Marian do stacji kolejowej w Niedrzewicy, dla wojska. Prawdopodobnie wszystkie te darowizny rolników zabrali z magazynów Niemcy. Przed Radawcem w lesie odbywało się przyjmowanie dla wojska koni i rowerów. Nam niczego nie zabrano, gdyż klacz była „żrebna”, a rower sfatygowany.

W czasie wojny

Po wkroczeniu Niemców udałem się do tego samego Pośrednictwa Pracy. Dostałem tam nakaz na piśmie wyjazdu do Niemiec. Pozwolono mi pożegnać się z rodziną, gdyż za dwa dni odjeżdżał transport. Było to prawdopodobnie w październiku 1939 roku. Miałem tylko legitymację i świadectwo szkolne. Po dziennej i nocnej podróży wagonami osobowymi wysiedliśmy w Halle (Saale). Stłoczono nas (ponad tysiąc osób) w dużej sali (prawdopodobnie kolejowej). Kilku lekarzy w mundurach wojskowych prowadziło badania i rejestrację zgromadzonych ludzi.

Na zewnątrz budynku zebrano się dziesiątki traktorów i platform konnych, czekających na robotników. Najczęściej byli to rolnicy („baorzy”) i właściciele wielkich dworów. Pierwsi mieli prawo wyboru mężczyzn o najsilniejszej budowie ciała i w wieku dojrzałym.

Dochodziło do płaczu i lamentów, gdyż utworzyły się grupy znajomych, pragnących pracować razem. Blisko 50% Polaków dostało się w ten sposób do rolników („Baorów”) mało- i średniorolnych. Pozostała część robotników wygłodniała i obezwładniona bezradnością w obliczu stanowczych dyspozycji – wsiałała do przyczep ciągnikowych bez protestu. W tej grupie znalazłem się i ja. Liczyła ona blisko 50 osób. Przywieziono nas do wioski Benkendorf. Zrobiono zbiórkę i przegląd. Około 30% młodzieży nie osiągała 18 lat życia, a dziewczynka, która przyjechała z ojcem miała około 12 lat.

Inspektor w niebieskim mundurze krzyczał na swojego podwładnego, że zebrali dzieci i nie będzie mógł zatrudnić ich przy ciężkich pracach.

Nie mogłem znać szczegółów tej rozmowy, gdyż stykałem się z potocznym językiem niemieckim po raz pierwszy. Nie ujawniłem z tego powodu mojej początkowej znajomości niemieckiego. Natomiast zgłosił się starszy mężczyzna, coś niecoś mówiący (ale nie piszący) po niemiecku. Wyznaczono go na tłumacza („Dolmeczera”).

Zakwaterowano nas w pomieszczeniach wieloosobowych z łózkami piętrowymi. Pod wieczór otrzymaliśmy pierwszy (po 1,5 dnia) posiłek, w postaci talerza zupy. Byłem rozczarowany. Przez 3 lata przebywałem w bursie szkolnej, gdzie

każdorazowo najadałem się 4 razy dziennie do syta, a tu praca już następnego dnia. Rano – (tak było już zawsze) otrzymaliśmy rozwodnione przegotowane mleko z kartoflami w mundurkach (nie obierane). W południe dalej tylko zupa – na kolację jakiś herbatopodobny płyn. Do chodzenia dostał każdy drewniaki, nie wszystkim było łatwo się do nich przyzwyczaić. Musiały jednak służyć przez cały okres pobytu w Niemczech. Zorganizowano też pranie bielizny. Wszy dawały się bowiem coraz bardziej we znaki. Jeden z chłopaków chodził wszędzie w czapce. Głowę miał – jak się okazało – pokrytą strupami. Kiedy współmieszkańcy zmusili go do wycięcia włosów, okazało się, że była to prawdziwa hodowla wszy głowowej. Tysiące tych owadów pokrywało zwartą powłoką jeden ogromny strup. Czegoś podobnego nigdy w życiu nie oglądałem.

Już niedługo dowiedziałem się od znajomych, że spożywanie cebuli zabija te pasożyty w bieliźnie. Jadłem więc surową cebulę i już przez cały okres pracy w Niemczech nie miałem żadnego robactwa.

Dostaliśmy kartki żywnościowe na chleb, trochę masła, sera, marmolady i wędliny. O ile nabiał był prawdziwy, to wędliną była wyłącznie jakaś podgardlana najczęściej z zielonymi ziołami. W ogóle przez cały czas pobytu w Niemczech nie jadłem kielbasy, ani jednego jajka i kawałka mięsa. Przydziały chleba były zbyt skromne, aby można było się najeść. Niektórym osobom udało się kupić jakiś bochenek za otrzymane kartki chlebowe od robotników niemieckich. Czasami jakaś sprzedawczyni dysponowała nadmiarem chleba i dawała zwłaszcza młodemu robotnikom. Głód dawał się we znaki szczególnie młodemu. Zdarzały się często kradzieże z indywidualnych szaf z nieszczelnymi zamknięciami. Mnie również okradał sprytnie jeden ze współmieszkańców pokoju. Chyba co miesiąc lub co 2 tygodnie dostawaliśmy trochę marek. Wystarczyły one na wykupienie żywności z kartek i drobne wydatki. Początkowo można było dostać piwo i napoje alkoholowe. Parę razy w życiu napiłem się likieru – smakował wyśmienicie. Śpiewaliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła” i inne pieśni patriotyczne. Odwiedziny w restauracji stopniowo wygasały, gdyż wszyscy coraz bardziej zaczęli liczyć się z wydatkami.

W niedzielę chodziliśmy do pobliskiego kościoła. Poinformowano nas, że na okres wojny papież udzielił wszystkim cudzoziemcom dyspensy na przystępowanie do Komunii Św. bez spowiedzi. Było to dla nas otuchą i łagodziło tęsknotę za krajem. Gdy zdejmowało się żółty znak „P” z piersi, można było wejść do kina na zwykłe wojenne spektakle.

W życiu codziennym pozdrawiali się Polacy ze zwykłymi robotnikami niemieckimi poprzez „Gut Morgen”, „Guten Tag”, „Guten Abend”. W urzędach natomiast oraz w miejscach publicznych żądano przy wszystkich okazjach pozdrawiania poprzez „Heil Hitler”. Większość Polaków wołała mówić niewyraźnie „pół litra”. Niemcy nigdy się nie orientowali, gdy i ja stosowałem to określenie w stosunku do urzędników.

Benkendorf był jednym z kilkudziesięciu folwarków należących do I.G. Boltza. Miał on własne cukrownie, kopalnie i zakłady ogrodnicze. Praca trwała chyba 8 godzin, latem – 10.

Już na drugi dzień pobytu nakładaliśmy obornik na platformy konne i ciągnikowe. Ogromne gnojowisko połączone było z oborami, z których systematycznie niemieccy „szwajcarzy” wywozili obornik. Nad naszą grupą stał z pałą emeryt niemiecki pilnujący aby praca szła sprawnie. Polacy starali się porozumiewać z nim na migi i wymianą pojedynczych wyrazów. W końcu odważyłem się i ja na rozmowę, ale w normalnym języku niemieckim. Jesienią dołowaliśmy głównie buraki i ziemniaki. Byłem coraz bardziej wygłodniały i wycieńczony pracą. Dostawałem arytmii serca. Idąc w grupie do pracy pozostawałem często w tyle. Pewnego dnia dopadł mnie koniem inspektor – główny zarządca folwarku. Wrzeszczał, abym szedł szybko do pracy. Wówczas poprosiłem go o przeniesienie do zakładu ogrodniczego tej samej firmy (I.G.B.) w Salzmünde. Krzyczał, że jest to niemożliwe. Byłem jednak zdumiony, gdy na drugi dzień zajechał powozem, kazał w przeciagu 5 minut zabrać rzeczy, a następnie odwiózł mnie do zakładu ogrodniczego w Salzmünde.

Od tego czasu mój koszmar został złagodzony. Mieszkałem z kilkoma robotnikami, byłymi więźniami wojskowymi, a pracowałem wyłącznie z Niemcami. Byli to wykwalifikowani robotnicy ogrodowi (Lüdecke, Schmidt „Hoszt”, „Frida”. Zaimponowałem im wiedzą ogrodniczą teoretyczną i praktyczną. Był to dość duży zakład ogrodniczy z kilkunastoma szklarniami i wieloma inspektami. W ogrodzie praca trwała chyba 8 godzin, ale dodatkowo trzeba było czas poświęcić na przykrywanie roślin (pod szkłem) matami i deskami. W niedzielę i święta jeszcze należało wszystko podlewać. Z dała od Polaków można było prędzej kupić dodatkowo chleba, zjeść ukradkiem pomidora, ogórka lub inne warzywa. Niemcy – nawet współrobotnicy nie tolerowali, aby z produktów tych korzystać jawnie – można było je tylko kupić. Z jednym robotnikiem w moim wieku nawet się zaprzyjaźniłem. Później dowiedziałem się, że wszyscy poszli do wojska, tam zginęli lub zostali ciężko ranni. Przebywając w Benkendorf i Saltzmünde przeżyaliśmy z niepokojem i otuchą zarazem przeloty pojedynczych samolotów „alianckich”, które oświetlały rakietami niemal codziennie różne okolice.

Niekiedy zrzucano bomby zapalające lub ostrzeliwano niemieckie stanowiska reflektorów. W ich świetle oglądaliśmy często przechwycone samoloty, słuchaliśmy odgłosów dział przeciwlotniczych. Nie było jednak przypadku strącenia samolotów. W pierwszym roku wojny nie oglądaliśmy nalotów dziennych.

Polacy wiedzieli o mojej znajomości języka niemieckiego, dlatego też przynosili często znajdowane na polach i osiedlach ulotki. Chętnie je tłumaczyłem. Czytając gazety niemieckie mogłem mieć dobre rozeznanie o działaniach wojennych we Francji, ZSRR i całej Europie.

Sam utrzymywałem tylko niewielkie kontakty z Polakami, byłem bowiem obserwowany przez Niemców jako „wyróżniający się” Polak.

W Soltzmünde poza uprawą kwiatów, warzyw i owoców opiekowaliśmy się dwoma parkami przypałacowymi i wysoką szklarnią do przezimowania drzew i krzewów tropikalnych, wystawianych na wiosnę przy pałacu. Z końcem 1940 roku pałac został w nocy zdemolowany przez hitlerowców, za udział jego właściciela w spisku przeciwhitlerowskim. Od tego dnia nie pozwolono nam opiekować się dalej zadrzewieniem parkowym. Moi koledzy – robotnicy niemieccy bali się udzielać mi bliższych informacji na ten temat. Na niebie pojawiały się niemieckie samoloty dające znać o sobie nagłymi hukami („wystrzałami”). Od młodych Niemców dowiedziałem się, że są to samoloty ponaddźwiękowe, a strzały pochodzą od przekraczania bariery dźwiękowej. Kiedy przelatywały nisko miało się wrażenie, że wybucha bomba. Później obserwowaliśmy często samoloty z małymi samolocikami na „grzbiecie”. Miały to być „latające bomby”.

Wolny czas poświęcałem bez reszty nauce języków: łaciny, angielskiego i rosyjskiego. Z niemieckich książek uczyłem się (do matury) fizyki, chemii, biologii, a zwłaszcza botaniki oraz ogrodnictwa. Na książki wydawałem niemal cały zarobek.

Pragnąłem pracować w dużych zakładach ogrodniczych, tak zalecanych przez niemieckich nauczycieli w Kijanach. Pośrednictwo pracy (Arbeitsamt) w Eisleben skierowało mnie do folwarku i zakładu ogrodniczego w Wormsleben koło Halle. Był to zakład znacznie mniejszy, ale nastawiony na szkółkarstwo i sadownictwo. Kierownikiem zakładu ogrodniczego był Polak z pochodzenia Andrzejewski.

Razem z niemieckim kierownikiem oraz kilkoma kobietami pracowałem przy robotach wymagających większej odpowiedzialności. Od czasu do czasu mogłem oficjalnie dostać lub kupić zbędne warzywa. Owoce mogłem jeść nieoficjalnie tylko przy zbiorze. Miałem wydzielony pokój, na skutek czego pracujący we dworze byli jeńcy polscy patrzyli na mnie podejrzliwie. Mieszkałem obok nich na piętrze. Im także tłumaczyłem znajdowane ulotki i informowałem o frontach wojennych.

Byłem zaskoczony i zdumiony zdarzeniem, jakie miało tu miejsce wczesnym latem 1942 roku. Inspektor folwarku nakazał byłym jeńcom przedłużenie pracy do 11 godzin (pracowali około 10 godzin). W związku z tym musieli rozpocząć pracę o godzinę wcześniej. Gdy nie pojawili się na zbiórce inspektor wysłał 2 młodych instruktorów („Vorwalterów”), aby przyprowadzili Polaków. Zastali ich śpiących. Gdy zaczęto ich okładać kijem, Polacy chwycili ich za ręce i zrzucili obu z pierwszego piętra po schodach. Sądziliśmy, że zostaną wywiezieni do obozu. Inspektor o wypadku zameldował policji, bał się jednak, że straci robotników do pracy. W rezultacie zostali tylko postraszeni obozem, ale nie zmuszano ich do zwiększonej pracy. Bardziej poszkodowany byłem ja. Mój kierownik Andrzejewski należał do partii hitlerowskiej i przy uroczystościach chodził w żółtym uniformie. Był wysoki i zarazem dość gruby. Wyglądał śmiesznie. Polecił mi dentystę, kolegę – hitlerowca. Ten zobaczył, że żółtą odznakę „P” włożyłem na nitce pod klapy marynarki i natychmiast zadzwonił na posterunek SS w Eisleben.

Doprowadzono mnie do posterunku policji i szczegółowo wypytywano. Dzięki temu, że dobrze znałem język niemiecki skończyło się na silnym uderzeniu w głowę przez równie potężnego jak mój szef hitlerowca.

Odżywianie w Wormsleben było nadal bardzo skromne. Posiłki obiadowe sporządzał sobie każdy z Polaków sam w jednym garnku, idąc do pracy zostawiało się go w kuchni. Jedna z Polek stawiała garnki obok siebie na gorących żelaznych rusztach podgrzewanych przez żarzący się miał węglowy.

Przydziały na kartki były coraz skromniejsze i tylko można było kupić łatwiej owoce i warzywa.

Zabiegów o dalszą zmianę pracy nie przerwałem. W pośrednictwie w Eisleben dziwili się, że mam poprawną wymowę (Hochdeutsch) i skierowali mnie do pracy w miasteczku Gerbstedt koło Halle. To była dla mnie już rozpacz. Właściciel Anton Hesse pracował w zakładach zbrojeniowych. Jego żona jak i on sam znali ogrodnictwo w zakresie robotnika ogrodowego. Musiałem tworzyć zręby zakładu ogrodniczego. Szybko wybudowano według moich zaleceń 3 szklarnie i inspekty.

Pierwszy okres zimy wyplataliśmy maty do zakrywania okien szklarniowych i inspektów. Mieszkałem w pokoiku zajmowanym wcześniej przez policjanta. Był nieogrzewany. Od oddychania w czasie snu zamarzała wierzchem pościel. Kartek żywnościowych nie otrzymywałem, gdyż o posiłki (śniadania, obiady, kolacje) troszczyli się gospodarze. Były one wprawdzie smaczniejsze od przygotowywanych osobiście, ale znacznie skromniejsze. Byłem więc stale głodny. Kiedy powiedziałem, że jestem głodny, zostałem pobity przez A. Hesse. Złożyłem skargę do miejscowej policji na piśmie, ale nie przyniosło to żadnej poprawy odżywiania.

Od jesieni zbierałem na ulicy przewożone buraki cukrowe i piekłem je w piecu ogrzewającym szklarnię. Po nich dostawałem biegunki. Pracowałem 11 godzin dziennie, nadto przy wieczornym przykrywaniu szklarni i inspektów, opuszczaniu wywietrzników itp. W niedziele i święta należało też podlewać i wykonywać kilkugodzinne prace pielęgnacyjne. Chciano mnie zmusić do jeszcze dłuższego dnia pracy (ponad 11 godzin), ale odmówiłem.

Właściciel zabrał mi wszystkie książki. Ilustracjami książek bawiło się później dwoje jego dzieci. Napiisałem informację o tym do pośrednictwa pracy w Eisleben. Podobno była jakaś komisja, bo „chlebobdawca” zaprzestał dalszych represji, ale nie zwrócił też książek.

Odwiedziłem go w parę lat po wojnie i ofiarowałem dużą puszkę polskiej szynki. Był zdziwiony moim postępowaniem i tłumaczył to wszystko losami wojny.

W Gerbstedt w latach 1942–1945 przeżywałem nasilające się zaniepokojenie Niemców wydarzeniami na frontach. W Saltzmünde młodzi Niemcy rwali się na ochotnika do wojska, chcieli oglądać zwłaszcza Grecję, Francję i Włochy.

W Wormsleben dyskutowali o terminach obejmowania w Polsce 50-hektarowych gospodarstw rolnych. Wyznaczono im nawet miejscowości. Polacy mieli być u nich tylko robotnikami.

W powietrzu nocą i dniem pojawiały się samoloty bojowe aliantów. Po około 3 godzinach od zmierzchu rozlegał się kilkugodzinny huk ciężkich maszyn. Z przechwytywanych ulotek dowiadywałem się, że samoloty bombardują Berlin, ale od strony południowej, gdyż strony północne i zachodnie są silnie obstawione działami przeciwlotniczymi. Kilka razy nocą obserwowałem błyski zderzających się i spadających ciężkich bombowców.

Pewnej nocy ta armada powietrzna nie zakreśliła do Berlina, lecz zrzuciła swoje ładunki na dworce kolejowe i obiekty wojskowe w Lipsku. Z odległości ponad 30 km słyhać było huki i widać szeroką łunę. Oglądałem później powalone mury grubości do 1m i zniszczone obiekty strategiczne. W ulotkach Amerykanie donosili Niemcom, że był to atak awaryjny. Niemcy w tym dniu zgromadzili z frontu wschodniego myśliwce nocne dla obrony Berlina. W trakcie lotu dotarła o tym wiadomość do komendanta eskadry z rozkazem skierowania lotu do Lipska. Zrzucano tam bomby o wadze od 0,5 do 1 tony.

W czasie dnia mknęły po niebie na dużych wysokościach małe grupy samolotów bombardujących. Ulotki wskazywały, że były to samoloty angielskie do likwidowania specjalnych celów wojskowych. Jednocześnie pojawiać się zaczęły duże eskadry amerykańskich fortec w osłonie myśliwców. Wyglądały one jak małe ptaszki nad potężnymi bombowcami.

Jednego dnia doszło do walki powietrznej nad Gerbstadt. W ciągu kilkunastu minut niebo między bombowcami przesywały drobne sylwetki myśliwców. Spadały one po kilka naraz: jedne koziołkując, inne skręcając, a jeszcze inne spadając łagodnie lub rozpadając się w powietrzu. Niebo pokryły jasne chasze spadochronów. Niemcy cieszyli się na widok spadających Amerykanów. W powietrze strzelali wszyscy posiadający broń i uśmiercali skoczków. Przerazili się jednak, gdy zamiast skoczków, amerykańskich zabili własnych lotników. Od tamtej pory zabroniono strzelania do jakichkolwiek spadochronów. Kilka kul z tej walki przebiło szyby w szklarniach spod których obserwowałem walkę.

✓ Dzielne przeloty fortec amerykańskich były coraz częstsze i liczniejsze. Kilka razy zasłaniały prawie całkowicie niebo – leciały w nienaruszonym szyku dywanowym, w liczbie przekraczającej często 1000 samolotów.

Nie widziałem za dnia zestrzelonych fortec, ale opowiadano mi, że niedaleko od Gerbstedt strącono jeden bombowiec. Na spadochronach zdołało opaść 5 lotników. Jeden z inspektorów posiadłości rolnych dopadł ich konno i zastrzelił. W polu kazał ich pogrzebać. Po wejściu wojsk amerykańskich, Polacy donieśli im o tym morderstwie. Inspektor został zatrzymany, kazano mu odkopać lotników. Po stwierdzeniu tożsamości lotników, zbrodniarza zaszytletowano.

Warunki bytowe były nadal bardzo ciężkie. Wprawdzie mieszkałem sam w budynku przyszlarniowym, ale cierpieć nadal głód. Całodzienną porcję jedzenia mógłbym zjeść na raz. W ostatnim roku wojny przysłano do ogrodu młodego jak ja chłopaka (Georga) z obozu. Mówił, że jest Volksdeutscherem i nie musi nosić znaku „P”. Nie mogłem się dowiedzieć, za co był więziony.

Po ponad 4 latach pracy w Niemczech dostałem z kolegą zezwolenie (Bezugschein) na zakup materiału ubraniowego. Poprosiliśmy krawca o dobre wykonanie garniturów. Obiecaliśmy dodatkową nagrodę. Po uszyciu odbieraliśmy odzież oddzielnie, wręczyłem krawcowi dodatkowo obiecanych kilka marek. Georg natomiast ukradł kilka ogórków szklarniowych, które ofiarował zamiast nagrody pieniężnej. Krawiec przyjął dar, ale o tym zameldował gospodarzowi i policji. Kiedy Georg wrócił do domu czekał na niego policjant. Więcej go nie widziałem. Mówiono, że oddano go do obozu koncentracyjnego.

W ostatnich kilku miesiącach przed zakończeniem wojny Niemcy byli już załamani. Polakom coraz bardziej sprzyjali – bali się odwetu z ich strony. Zdarzały się ucieczki. Wszyscy śmiałkowicie zgodnie z groźbą trafili do obozów koncentracyjnych.

Pewnego wiosennego dnia, ze wzgórza ogrodu zaobserwowałem wkraczające do rynku miasteczka czołgi i krążący w powietrzu mały samolot dwupłatowy. Przed miastem czołgi przystawały i wystrzeliwały kilka salw. Weszły do miasta i szybko udały się na północ. Strażony został bowiem ich samolot obserwacyjny. Radość Polaków nie miała granic. Przed ratuszem Niemcy zgromadzili ogromny stos broni palnej i aparatów fotograficznych. Musieli to wszystko oddać. Obok stał czołg amerykański, który od czasu do czasu miażdżył to na złom.

Żołnierze rozdawali nam czekolady, kawę, herbatę. Nie piliśmy tego i nie jedliśmy od 5 lat. Dużo też rozdali papierosów. W nocy tego dnia nastąpiła panika. Polacy, którzy coś „przeskrobali” wobec Niemców zaczęli uciekać na południe. Przyczyną niepokoju były ciężkie, strzelające ponad miasto działa. Ich ogromne lufy i sterty łusek do ponad 1m wysokości oglądaliśmy rano następnego dnia. Na Gerbstedt nie spadały jednak żadne pociski niemieckie. Fala czołgów przesunęła się na północ. W miasteczku została administracja i patrole. Wychwytywały one nocą najczęściej Polaków, którzy wygłodniali, wyciągali z chlewni świnie, cielaki, owce i inne zwierzęta. Raz byłem i ja poczęstowany duszonym mięsem. Tak aromatyczny smak odczuwałem po raz pierwszy w życiu. Niemcy bali się interweniować nocą, gdyż sami musieli się rozbroić, a Polacy dysponowali często bronią palną i białą. Zwracali się do Amerykanów o interwencję.

Po zakończeniu wojny Niemcy robili wszystko, aby wyprowadzić Polaków i Ukraińców. Organizowano obozy, gdzie w oczekiwaniu na wyjazd przebywali w barakach i szopach; tam też wydawano posiłki. Udałem się do jednego z obozów przy kopalni soli potasowej pod Lipskiem. Byli tam polscy oficerowie łącznikowi, namawiali do pracy we Francji, Anglii, Belgii, a nawet w Stanach Zjednoczonych. Przestrzegali przed represjami komunistycznymi.

Transportów było dużo. Nie organizowano ich jednak na wschód. Po pewnym czasie pokazali się i oficerowie łącznikowi radzieccy. Wyszukiwali oni zwłaszcza Ukraińców. Wywożono ich samochodami wojskowymi. Nie decydowałem się na wyjazd na zachód. Tęskniłem za rodzicami i pragnąłem uczyć się, a nie pracować. Miałem 23 lata, ogromny zasób nowych wiadomości książkowych i wiarę, że

komuna mnie nie zniszczy. Z kilkunastoma Polakami udaliśmy się pociągiem na „ślepo” na wschód. Nad Łabą dotarliśmy do strefy radzieckiej. Niektórzy wahali się czy przechodzić na drugą stronę rzeki. Tam zaś kazano ustawić się w dwóch rzędach, oddać broń, noże, aparaty fotograficzne.

Wsiadliśmy do podstawionego pociągu, pełnego Ukraińców. Podobno rzucali się na Polaków. Postanowiliśmy w ogóle nie rozmawiać między sobą. Po kilku godzinach dojechaliśmy do stacji nie mającej dalszego połączenia. Ukraińców zabrały ciężarowe wozy wojskowe.

Z ciężkimi bagażami (dźwigałem trochę książek) dotarliśmy wreszcie do jakiejś stacji z połączeniami kolejowymi na wschód. Pociągów osobowych nie było. Wsiadliśmy na wagony wojskowe przewożące zerwane szyny kolejowe. W czasie jazdy jeden z żołnierzy sowieckich zastrzelił samę, zatrzymał pociąg i pobiegł po zdobycz. W granicach Polski przesiedliśmy się na pociąg osobowy. Masa powracających Polaków i szabrowników zapełniała nie tylko wnętrza wagonów, ale i dachy oraz przerwy między wagonami. Na jednej z nich wisiałem, mając dwie walizki na dachu przywiązane do poręczy wagonu. Mówiono, że grasują Sowietci. Wkrótce tego doświadczyłem. Na moich oczach żołnierz sowiecki przeciął wieko walizki i zabrał jedyny niemiecki garnitur, pieniądze i inne cenniejsze drobiazgi. Nie spieszył się z odejściem, a siedzący na dachu Polacy bali się interweniować.

Tak wróciłem do Warszawy Zachodniej. Przez miasto przedzierałem się wąskimi przejściami wśród stosów gruzów. Byłem już uodporniony na okropności wojny zmierzając do dworca wschodniego, a stąd już bez tłoku do Lublina i Motycza. Wsiadając do wozu konnego byłem szczęśliwy, że po kilkunastu kilometrach dotrę do Bełżyc. Zostawiłem tam walizki, a dalej udałem się pieszo (9 km) do Huty Borowskiej. Rodzice mnie nie poznali.

Studia

Wczesnym latem 1945 r. przystąpiłem do składania egzaminu z zakresu „małej matury”. Miałem kłopoty z różniczkami i całkami, toteż przewodniczący uzależnił zaliczenie matematyki od pomyślnego zdania botaniki. Egzaminator był zaskoczony moją wiedzą w tym zakresie. Przygotowałem się bowiem w języku niemieckim z podręcznika Strassburgera, przeznaczzonego dla studentów szkół wyższych. Maturę małą miałem więc już poza sobą.

Odwiedziłem przebywającego w zakonie Jezuitów mojego brata. Zakon mieścił się w południowym skrzydle obecnego szpitala wojskowego przy Al. Racławickich. Później usunięto w ogóle zakon z ich własnego budynku.

Przeor Jezuitów uzyskał wiadomość, że są szanse studiowania bez matury. Zabrał mnie do prof. Mydlarskiego, ówczesnego dziekana Wydziału Mat.-Fiz.-Przyrod. Dziekan poinformował mnie, że istnieje wprawdzie możliwość rozpoczęcia i zaliczenia studiów I roku bez matury, ale należy ją uzyskać z końcem roku akademickiego. Osobiście radził wstąpić na organizowane studia wstępne, ze

wszystkimi prawami akademickimi; tak też uczyniłem. Wkrótce mogłem zamieszkać w akademiku przy ul. Króla Leszczyńskiego (obok kina Kosmos). Przebywali tam już studenci weterynarii, medycyny, rolnictwa i biologii. Kiedy pierwszy raz odwiedziłem jeden z pokoi studenckich, stanąłem w drzwiach oniemiały. Nie mogłem wykrztusić nawet jednego słowa. Na porwanych siennikach ze słomy leżeli studenci z książkami w rękach; nie było żadnych szaf, stolików, oświetlenia. Ściany porysowane były węglem i kredą.

Inaczej wyobrażałem sobie mieszkanie studentów. Przez 3 lata przed wojną byłem w bursie szkoły ogrodniczej. Było tam czysto i wygodnie, często zmieniana pościel, wygodne umywalnie, cotygodniowy prysznic z ciepłą wodą. Moje milczenie przerwał jeden z leżących, odgadując przyczynę mojego zmięszania. Powiedział wówczas, że przed wojną co biedniejsi studenci chodzili na wykłady boso. Mieszkałem w kilkuosobowym pokoju, na pierwszym piętrze, cały bowiem parter był zamknięty dwiema kłódkami. Jedną z nich założyli studenci, a drugą uczniowie i nauczyciele pobliskiej szkoły zawodowej. Ponieważ o przydział na te lokale starali się u władz miejskich i centralnych jedni i drudzy. Na zmianę uzyskiwali przydziały kilkakrotnie, zarówno studenci, jak i uczniowie. W końcu jednak zwyciężyli – u obu władz administracyjnych – studenci. Wkrótce nadeszły do akademika drewniane łóżka z desek tzw. „prycze”. Były one jednak pełne pluskwiew. Toteż rozbieraliśmy te łóżka i oblewaliśmy wrzątkiem. Było to mało skuteczne. Z administracji dostaliśmy proszek DDT. Jeden z medyków tak bardzo chciał zemścić się na tych owadach, że nabrał kilkadziesiąt sztuk i zamknął je w pudełku z proszkiem DDT. Po nocy z przerażeniem stwierdziliśmy, że białe kule chodziły spokojnie po pokoju i po tygodniu nadal żyły. W czasie wakacji zrobiono jakąś dezynfekcję i pluskwy dokuczały znacznie mniej. W zamieszkałych przez nas pokojach była woda w kranach, ale nie było łazienek. Do mycia dostaliśmy miednice.

Całkowity brak ogrzewania był bardzo dotkliwy. Nocą zamarzała nam woda w miednicach trzymanyh w pokoju. Nie było światła. Wkrótce jednak znaleźli się wśród studentów specjaliści i zarzucili druty na przebiegające ulicą Króla Leszczyńskiego przewody elektryczne, dzięki czemu mieliśmy nielegalne światło.

Sufitem rozciągnęliśmy spirale, które znacznie łagodziły chłody zimowe, w ten sposób mieliśmy ogrzewanie. Ponadto w ruch poszły maszyny elektryczne, na których co bogatsi studenci przygotowywali oprócz herbaty, jajecznicę, smażyli boczek lub słoninę.

Pamiętam też, gdy nie mogłem pozwolić sobie na obiad, kupiłem 2 kg świeżego chleba, który zjadłem w ciągu jednego dnia. Spożywałem go tak, jak moi koledzy, z tranem, z którym jedliśmy też kluski i kaszę.

Brak było też pieniędzy na różne drobne potrzeby. Postanowiłem zarobić oddając krew. Kiedy po badaniach poszedłem do lekarza i przedstawiłem mu mój pomysł – ostro zaprotestował i radził raczej tłuc kamienie niż oddawać krew. Nigdy potem nie realizowałem swojego pomysłu „łatwego” zarobku.

Najgorsze były mroźne zimy. Nie wszyscy mieli własne koce. Jeden z farmaceutów śpiąc przykrywał się stale gazetami. O tym dobrodziejstwie przekonałem się sam, używając gazet do okręcania nóg przed wkładaniem ich do butów. Około roku 1947 wzmożła się bardzo działalność „Bratniej pomocy studenckiej”. Jej kierownik, obecny prof. dr hab. Prost organizował stołówki akademickie, przydziały UNRRA, uliczne zbiórki pieniężne itp. Dzięki temu w naszym akademiku można było dostać obiady, a wieczorem herbatę i pozostałości z obiadu.

W czasie jednej ze zbiórek ulicznych na „Bratnią pomoc studencką” zebrałem największą sumę pieniędzy. W nagrodę dostałem parę dobrych butów. Paczki z UNRRA dostawaliśmy coraz częściej. Były w nich konserwy mięsne, mydło, papierosy i jakieś słodczyce. Dość często otrzymywaliśmy swetry, buty i inną odzież. To efektywnie zaspokajało nasze codzienne potrzeby. Po dwóch latach pobytu w akademiku (około 1948 roku) wykonano nam zlewy do mycia, normalną instalację elektryczną i ogrzewanie z lokalnej kotłowni. Warunki stały się, jak na owe czasy, zupełnie znośne, a nawet dobre. Przez cały rok byłem studentem roku wstępnego, zwanego też zerowym. Były w nim niemal wszystkie przedmioty obowiązujące w programie licealnym. Wykładowcami byli samodzielni pracownicy naukowcy Uniwersytetu MCS. Nie miałem tu większych kłopotów, gdyż opanowałem wcześniej kilka z nich: łacinę, niemiecki, fizykę, chemię, oraz inne przedmioty z ogólnym wynikiem dobrym. Uzyskane zaświadczenie pozwalało na dowolny wybór kierunków i uczelni w Polsce.

Myślałem o ogrodnictwie, lecz najbliższa uczelnia tego typu znajdowała się w Warszawie i Poznaniu. Musiałem zrezygnować. Interesowała mnie medycyna, bowiem zapewniała dostatecznie wówczas życie. Studia trwały jednak zbyt długo (6 lat), abym mógł żyć bez zarabkowania. Wybrałem więc biologię. Od 1946 r. zostałem normalnym studentem pierwszego roku studiów na wydziale przyrodniczym UMCS. Prawie wszyscy nosiliśmy bordowe czapki z otoczkami w różnych kolorach – przyrodnicy mieli paski popielate. Studenci KUL-u nosili czapki białe. To był dla nas wielki zaszczyt i wyróżnienie. Z biegiem lat liczba czapek na ulicach zmniejszyła się z niewiadomych powodów.

Nie wdawałem się w sprawy polityczne i mocno wierzyłem, że ciężko pracującego człowieka ominą komunistyczne zagrożenia. Raz tylko byłem aresztowany na krótko przez ORMÓ. W okresie głosowania 3 x tak, na Plac Litewski wyszły duże grupy młodzieży szkolnej demonstrując przeciw władzy ludowej. Wieczorem nadjechały kolumny samochodów. Podobno wywozili młodzież kilkadziesiąt kilometrów od Lublina i tam wypuszczali. Wyszedłem wraz z kolegą na Plac Litewski, raczej z ciekawości niż protestu. W pewnym momencie dwóch ormowców chwyciło mnie z obu stron i zaprowadziło na posterunek MO mieszczący się przy ul. Zielonej. Staliśmy z rękami wzniesionymi do góry i z twarzą zwróconą do ściany. Następnie było przesłuchanie przez milicjanta o nazwisku Fijałkowski. Powiedziałem, że jestem jego kuzynem i wówczas wraz z kolegą zostaliśmy zwolnieni.

Na pierwszy rok studiów stacjonarnych zostałem przyjęty bez egzaminów, mimo że miałem z tym wiele kłopotów. Na pierwszych ćwiczeniach z biologii stwierdziłem, że wszystkie mikroskopy pochodzą ze Szkoły Ogrodniczej w Kijanach, którą ukończyłem przed wojną. Zachowały się nawet tekturowe oznaczenia numerów, które przydzielone były dwójkom uczniów. Doszedłem w końcu do wniosku, iż przywiózł je były nasz nauczyciel J. Urbański – późniejszy profesor. Podjął on pracę adiunkta w Zakładzie Zoologii Systematycznej, a ponieważ w organizowanej uczelni nie było jeszcze mikroskopów, postanowił taką drogą braki te złagodzić. Transakcja – sędzę – była przeprowadzona legalnie. W końcowej fazie okupacji niemieckiej J. Urbański był bowiem dyrektorem Szkoły i miał uprawnienia do społecznego rozwiązywania wszelkich spraw.

W pierwszych latach powojennych włączana była młodym pracownikom i studentom teoria radziecka Lepieszynskiej, Łysenki i Miczuryna. Upowszechniali ją w Polsce zwłaszcza Michajłow, Petruszewicz, Dębowski. Nie mogłem uwierzyć, aby ze zniszczonej całkowicie tkanki jamochłonów odradzały się nowe organizmy, aby różne gatunki bakterii przechodziły jedne w drugie, a co najgorsze, aby z pszenicy powstawało żyto i odwrotnie.

Uznane za nowe dla nauki jarowizacja zbóż, ziemniaków i innych roślin były przed wojną w szkole ogrodniczej szeroko omawiane, podobnie jak obrączkowanie pomidorów oraz drzew i krzewów. Miczurina znaleźmy w Kijanach bardzo dobrze z wielkich sukcesów, jakie osiągał przy wyszukiwaniu mrozoodpornych siewek drzew owocowych. Uzyskane bowiem przez niego odmiany przesuwaly możliwość zakładania sadów daleko na północ. Nauczyciel donosił nam również o przypadku wyrośnięcia chyba świerka na sośnie (może odwrotnie) powstałego na skutek zbliżenia okaleczonych drzew w czasie pierwszej wojny światowej. Biologia miczurinowska uznała to za przykład powstania nowego gatunku, czy nawet rodzaju na drzewie macierzystym. Już po kilku latach biologia ta zaczęła zamierać, w miarę jak nauka zachodnia udokumentowała absurdalność tych wszystkich teorii i konkretnych zdarzeń biologicznych.

Od lutego 1947 r. będąc studentem pierwszego roku zostałem zaangażowany na stanowisku ogrodnika, a następnie starszego ogrodnika do realizacji (podjętej przez UMCS uchwały) utworzenia ogrodu botanicznego. Nie chodziłem już więcej głodny, miałem dalej bezpłatny akademik, korzystałem też z bezpłatnych obiadów w stołówce przy ul. Króla Leszczyńskiego. Mogłem nawet coś niecoś rodzicom na wsi pomóc. Rozsyłałem pisma do ogrodów botanicznych w Polsce w celu uzyskania nasion do ogrodu botanicznego.

Podjęmowałem jednocześnie starania o budowę inspektów do rozmnażania roślin. Wkrótce ten spokój i zadowolenie zostały zakłócone niezamierzonym zdarzeniem. Kiedyś śpieszyłem się do kwestury, aby zapytać czy dostałem pieniądze zapomogę. Stał tam właśnie główny sekretarz UMCS i zapytał czy jestem studentem KUL-u. Odpowiedziałem że ŻUL-u (co znaczyło Żydowski UL lub Rządowy UL). W następnym dniu zostałem wezwany na rozmowę przez rektora

H. Raabe. Wyjaśniłem mu, iż jest to żartobliwe określenie studentów UMCS-u. Pokiwał głową z charakterystyczną bródką, wmawiał mi, że nie dam sobie rady na studiach, a na koniec zaproponował przejście na Wydział Rolny. Zrelacjonowałem to wszystko mojemu szefowi prof. J. Motyce, który powiedział, że spróbuje to wszystko załatwić. Po kilku dniach doniósł mi, że nie jestem zagrożony.

Po paru latach spotkałem rektora Rabego, który był bardzo przygnębiony (było mi go żal), mieszkał na parterze tego samego budynku przy ul. Głowackiego 2. Okazało się, że został pozbawiony prawa prowadzenia zajęć ze studentami i pracy na Uniwersytecie w ogóle. Na skutek tego, że piastując wysokie stanowisko we władzach Polskiej Partii Socjalistycznej odmówił podpisania zjednoczenia tej partii z PPR (Polską Partią Robotniczą). Niedługo potem zmarł, a jego syn z żoną i dziećmi wyjechali do Warszawy.

Drugi raz interweniował profesor Motyka u władz partyjnych UMCS-u w święto „1 Maja” 1947 r. Zamiast iść na pochód przekopywałem skwerek przed budynkiem UMCS na rogu ulic Głowackiego i Al. Raławickich. Posadziłem tam krzewy i zasiałem trawę. Profesor tłumaczył partii, iż pochodzę z zapadłej wsi lubelskiej i na polityce się nie znam.

Lokalny komitet partii (PZPR) chciał mnie koniecznie wprowadzić w swoje szeregi. Nie pomogły nalegania nieoficjalne nawet prof. Motyki. Postanowił więc razem z prof. Bieleckim – ówczesnym dziekanem dać mi termin dobowy do namysłu; jeżeli się nie zdecyduję – będę zwolniony z UMCS. Kategorycznie odmówiłem, a mimo to nie wyrzucono mnie. Naciski zapisania się do PZPR ze strony władz jeszcze powtarzały się kilka razy. Byłem już na nie zdecydowanie odporny.

Studia nie szły mi gładko. Praca fizyczna w zakładaniu Ogrodu Botanicznego oraz podjęta praca naukowa sprawiły, że nie zawsze uczestniczyłem w wykładach. Ubolewałem nad tym, że nie mogłem być na przepięknych oraz interesujących wykładach rektora Raabego z ewolucjonizmu; na wykładach prof. Łubnickiego z logiki i metodologii oraz innych. Nie zaliczyłem przy pierwszym podejściu egzaminu z logiki. Za drugim razem zaliczyłem tylko logikę i metodologię. Prof. Łubnicki powiedział mi, iż wyszedł właśnie drukiem jego skrypt z teorii poznania, i żebym się z nim zapoznał.

Do egzaminu pisemnego z matematyki wyższej ze 120 osób przystąpiła tylko połowa. Z tego dopuszczono do egzaminu ustnego około 20 osób (w tym i mnie). Gdy profesor Mikusiński miał wpisać już notę dostateczną, powiedziałem mu, iż jestem asystentem prof. Motyki. Wówczas przerwał i stwierdził, że muszę lepiej jednak poznać materiał. Wnioskowałem początkowo, że może chciał mi postawić lepszą notę, a później – że może partyjny szef był tego przyczyną. W następnym roku prof. Mikusiński – rekonstruktor (jak sam twierdził) zniszczonej przez bombę akustycznej kaplicy w Katedrze Lubelskiej – odszedł z Lublina. Dopiero po dwóch latach wprowadzono statystykę (prof. Olekiewicz i późniejszy prof. Okaba). Z egzaminu dostałem ocenę bardzo dobrą. Z innych przedmiotów

uzyskiwałem zawsze pozytywne oceny za pierwszym podejściem. W sumie miałem znacznie więcej ocen bardzo dobrych niż dostatecznych, ocenę zaś z egzaminu magisterskiego miałem bardzo dobrą. Uzyskanie tego stopnia naukowego i stała praca pozwoliła mi na pełne rozwijanie tych problemów, które zapoczątkowałem podejmując pracę w Katedrze Systematyki i Geografii Roślin UMCS. Szczególnie dotyczyły one działalności naukowej, dydaktycznej i społecznej w ochronie przyrody.

Praca w Zakładzie Systematyki i Geografii Roślin pod kierownictwem prof. J. Motyki trwała cały dzień. Zmuszały do tego przede wszystkim zajęcia dydaktyczne ze studentami. Odbywały się one w różnych godzinach, zarówno przed jak i po południu. Wolne były tylko niedziele i uznane przez władze święta. Gdy rozpoczęły się studia zaoczne zajęte były przede wszystkim niedziele i święta. W wolnych godzinach trzeba było pracować naukowo, aby uzyskać awanse naukowe od zastępcy asystenta, adiunkta, do docenta i profesora. Tylko asystenci techniczni nie mieli obowiązku pracowania ponad 8 godzin dziennie. Mogli oni jednak łatwo awansować na stopnie i tytuły naukowe, o ile wykazywali się odpowiednim dorobkiem. Prof. J. Motyka przebywał w Zakładzie dłużej i żądał tego od swych pracowników.

Ogród Botaniczny UMCS

Decyzja założenia Ogrodu Botanicznego zapadła już w 1945 r., na posiedzeniu Senatu powstałego w 1946 r. Uniwersytetu MCS w Lublinie. Odpowiedzialnym za realizację i jednocześnie wnioskodawcą założenia Ogrodu był prof. J. Motyka. Pod Ogród Botaniczny oddano do dyspozycji tereny położone pomiędzy ulicami Głęboką, cmentarzem, ul. Raabego, Skłodowską i Sowińskiego. Teren całego Miasteczka Uniwersyteckiego zajęty był przez opuszczone ogródki. Chudy chłopak pasł na nich kilka krów. Zdarzało się, że wchodziły one i na zagony zbiorów roślinnych. Bywało, że z trudnością hamowałem konieczność użycia kija na niesfornego chłopaka. Po latach został on listonoszem i rozdawał przesyłki dla mieszkańców tegoż Miasteczka.

W pierwszym roku cały ten teren zagospodarowano szkółkami i zagonami o boku 2 x 2 m. Drzewa i krzewy uzyskano po opuszczonej szkółce w Opolu Śląskim. Sporo krzewów ofiarowała Zielen Miejska w Lublinie. Byliny znosiłem przy okazji prowadzenia badań terenowych.

Już jednak około 1950 r. przystąpiono nagle do budowy połączonych pierwszych budynków Fizyki i Chemii. Wszystkie rośliny trzeba było przenieść na teren obecnego miasteczka uniwersyteckiego po zachodniej stronie ul. Sowińskiego. Kiedy rozpocząłem studia aspiranckie (1951–1953) nie mogłem otwarcie wiązać się z Ogrodem. Zastępowali mnie w tym okresie T. Szywał, H. Zimny i M. Barszczewski. Ostatni był leśnikiem z zawodu i posadził na wolnym terenie skupienia sosny, jodły, buka i dębu. Jodła prawie zupełnie zginęła, ale pozostałe drzewa stanowią dziś podstawę zieleni wysokiej na miasteczku uniwersyteckim.

Kiedy skończyłem studia aspiranckie, zająłem się ponownie z całą energią pracami w Ogrodzie. Jednocześnie władze UMCS podjęły starania o lepszy teren pod ogród. Uzyskano je na Sławinku w dawnej posiadłości rodziny Kościuszków. Wiele z powstałych tą drogą nasadzeń przenieśliśmy do uzyskanego terenu na Sławinku. Teren był urozmaicony, malownicze wąwozy, rzeczka Czechówka i fragment jej doliny, słoneczne zbocza i rozległe wierzchowiny sprawiały wrażenie piękna. Kłopoty sprawiali jednak mieszkańcy rozpadającego się dworku rodziny Kościuszków, drewniana kawiarnia, liczne resztki murów i powstające nowe domki. Udało się jednak zahamować rozpoczęte budowy, a uzyskany gruz z rozebranych ruder skrzętnie zbieraliśmy na podkład do alejek.

W dworku tym przebywał kilkakrotnie sam Tadeusz Kościuszko. W późniejszym okresie własność ta przeszła w inne ręce. Ponieważ było tam duże źródło lecznicze z wodami żelazistymi, kolejny właściciel wybudował sanatorium. Nie wytrzymało ono jednak konkurencji Nałęczowa i upadło w okresie międzywojennym. Pozostało jednak piękne zadrzewienie, stawy, labirynt wąwozów oraz piękne krajobrazy na wierzchowinach. Był to idealny teren – najlepszy chyba w Europie pod Ogród Botaniczny.

Kiedy zostałem docentem (1960 r.), powołano mnie wkrótce na Kierownika Ogródu na tym obszarze. Był jednostką samodzielną w obrębie Katedry Systematyki i Geografii Roślin. Przez pięć lat mojego kierownictwa zrobiłem wszystko, aby go zagospodarować. Pieniądzy było mało. Organizowałem więc czyny społeczne młodzieży szkolnej i akademickiej oraz zakładów pracy. Rozbijaliśmy resztki murów, tyczyli sami alejki, robiliśmy wykopy, wypełniali je gruzem i żużlem oraz żwirem. Wartość godzinową naszej pracy przeliczano na złotówki. Z Miejskiego Komitetu Czynów Społecznych uzyskiwaliśmy równowartość w pieniądzu. Tą drogą zakupywaliśmy krawężniki oraz inne urządzenia do powstającego Ogródu. Z każdym rokiem było w Ogrodzie coraz piękniej, kwitły różnymi kolorami byliny i rośliny zielne w działach systematycznych, śródziemnomorskim i alpejskim. Niedługo pojawiły się dywany roślin cebulkowych: tulipanów, narcyzów, hiacyntów. Na zagospodarowanych stawach kwitły różnokolorowe grzybienie, grążele i inne rośliny. W arboretum sadzone drzewa i krzewy wyrastały coraz wyżej i coraz piękniej; powstały zaczątki różanki z całą gamą róż dzikich i hodowanych. Rozwijał się też dział roślin użytkowych, leczniczych i chronionych. Za pieniądze niektórych instytucji współpracujących z UMCS wybudowano 3 szklarnie (mnożarkę, kaktusiarnię i małą palmiarnię). W końcu wyasfaltowano ciąg i przejścia piesze niemal całego Ogródu Botanicznego.

Organizacja Ogródu Botanicznego zwłaszcza na Sławinku, zajmowała mi dużo czasu. W istocie była to moja praca społeczna, bowiem prowadziłem w normalnym wymiarze wykłady i seminaria. Gdy Ogród został przygotowany do otwarcia mogłem poświęcać więcej czasu pracom naukowym. W Ogrodzie wykonana została pod moim kierunkiem rozprawa doktorska o różach dziko występujących w Polsce (dr Wiesławy Krzaczek) oraz o szczerzeńcach Polski (dr Marii

Petrowicz). Prowadzono też dalsze badania nad szczodrzeńcami, a dr M. Petrowicz zebrała dużą kolekcję tego rodzaju na zagonach; sporo zebrała ich też do zielnika.

Spośród wszystkich rektorów Uniwersytetu MCS największy wkład do organizacji Ogrodu Botanicznego miał rektor Leopold Seidler. Wprawdzie nie zawsze godził się z nakładami pieniężnymi, ale jego autorytet prawniczy pozwalał na przejście do Ogrodu parku sławinkowskiego, zahamowanie budowy budynków mieszkalnych i uzyskanie pieniędzy na szklarnie oraz budynki gospodarcze.

Czynami społecznymi wypracowaliśmy ponad 50 000 godzin, a pieniądze za nie uzyskane, przeznaczyliśmy na zakup sprzętu. Intensywna praca w ogrodzie hamowała moją pracę naukową. Mój szef prof. Motyka powiedział przy przyjmowaniu do pracy, że moim celem jest wybudowanie Ogrodu Botanicznego i opracowanie flory roślin naczyniowych na podstawie badań własnych. Ogród botaniczny w 1970 r. był już gotowy do otwarcia, o czym powiadomiono władze UMCS. Niestety zrobiono to po moim odejściu w 1970 r. Musiałem bowiem wypełnić jeszcze drugie zadanie – napisanie flory, co było prawie niemożliwe przy nawale prac administracyjnych i fizycznych. Mój były szef prof. Motyka odchodził na emeryturę i stąd zgłosiłem chęć uczestniczenia w ogólnopolskim konkursie rozpisany przez UMCS na stanowisko kierownika Katedry Systematyki i Geografii Roślin UMCS. Zatwierdzony zostałem na to stanowisko znaczną większością głosów. Miałem nadzieję, że będę współpracował przy dalszym powiększaniu ogrodu do około 300 ha, w staraniach o wybudowanie palmiarni. Niestety nowy kierownik, najstarszy mój pracownik dr Kozak nie miał zupełnie takich ambicji. Zarezerwowany teren pod duży „Ogród Botaniczny” oddano na ogródki działkowe, a o palmiarni nawet się nie mówi do tej pory. Zlikwidowano z nieuzasadnionych powodów wodę w stawach. Tylko piękno wyrosłych wysoko drzew i krzewów oraz zachowana dobra pielęgnacja czynią ten obiekt atrakcyjnym dla ruchu dydaktycznego i rekreacyjnego. W krótkim czasie po moim odejściu wydzielono ogród zupełnie z Katedry Systematyki i Geografii Roślin i podporządkowano bezpośrednio kierownictwu Uczelni. Pracownicy przestali prawie zupełnie pracować naukowo. Nieliczne prace wykonywane były pod kierunkiem innych zakładów.

Zaniedbano etykietowania roślin, a część uzyskanego poprzednio terenu leżała latami nie zagospodarowana.

W powstałej sytuacji wystąpiłem w prasie z potrzebą założenia arboretum na około 300ha powierzchni wojskowej, położonej między Czechowem i Sławinkiem. Zadeklarowałem pomoc, ale myśl iż muszę to ponownie prawie sam organizować ostudziła moje zapały. Odszedłem bowiem na emeryturę. Pozostały moje niedokończone syntezy: opracowania flory, lasów i łąk Lubelszczyzny, ochrony przyrody i inne mniejsze będące na ukończeniu prace.

Dydaktyka

Zajęcia dydaktyczne ze studentami prowadziłem właściwie, już od pierwszych lat pracy na UMCS. Początkowo polegała ona na przygotowaniu materiałów do wykładów prof. Motyki, a zwłaszcza zielników do ćwiczeń. Nie było zupełnie zbiorów, dlatego też, wraz z innymi współpracownikami i studentami, musiałem je gromadzić. Będąc magistrem prowadziłem seminary i samodzielne ćwiczenia, nie przerywałem ich nawet w okresie aspirantury. Tematy prac magisterskich oparte o badania terenowe, były wykonywane praktycznie, tylko z moją pomocą.

Profesor rzadko wybierał się w teren i czynności związane z badaniami zwłaszcza florystycznymi spadały na mnie, potem na K. Izdebskiego. W teren nie wyjeżdżali prawie zupełnie pozostali pracownicy naukowo-dydaktyczni. Taki stan trwał praktycznie przez cały okres do uzyskania stopni naukowych; doktora, docenta. Zgodnie ze zwyczajem akademickim kierownik zakładu promował wszystkich magistrów w Katedrze i wszystkich doktorantów. Straciłem w ten sposób na korzyść J. Motyki co najmniej 40 magistrów. Tematy prac magisterskich pod moim kierunkiem opierały się w 70% na badaniach terenowych, a tylko w 30% na badaniach z literatury. Zestawiono wówczas stanowiska roślin naczyniowych z literatury. Zostały one w dużym stopniu wykorzystane do „flory Lubelszczyzny”. Z odejściem na emeryturę miałem na swoim koncie 319 wykształconych magistrów. Pozostałych 300 mieli wszyscy inni pracownicy Zakładu, łącznie z prof. Motyką. Nie przychodziło to łatwo, bowiem każdemu magistrowi poświęcałem przeciętnie dwa dni pobytu w terenie. Wypromowałem 14 doktorów. Dla każdego z nich poświęcałem przeciętnie 15 dni pracy terenowej dla sprawdzenia wiadomości i uzgodnienia jednolitej metody badawczej. Dwóch moich docentów przygotowywało swoje prace habilitacyjne całkowicie samodzielnie. Natomiast trzech pracowników uzyskało tytuły profesora nadzwyczajnego i zwyczajnego. Często prowadziłem miesięczne praktyki przy zbiorach zielnikowych, w Ogrodzie Botanicznym, na terenie Lubelszczyzny oraz w formie wycieczek w góry lub do Białowieży. Pozwalały one studentom na zapoznanie się praktyczne z florą i zespołami w terenie. Od chwili uzyskania przeze mnie tytułu docenta doszły jeszcze wykłady, które prowadziłem zawsze w ponad wymiarowym zakresie. Były to przede wszystkim: systematyka roślin, biogeografia, dendrologia, fitosocjologia i geografia roślin. Dużym zainteresowaniem studentów cieszyły się zwłaszcza wykłady biogeografii i systematyki roślin. W latach siedemdziesiątych modne były egzaminy testowe. Opracowałem z botaniki ogólnej i systematyki kilka ich wersji po 100 zagadnień, każde z 3 możliwościami i tylko jedną poprawną. Na ostateczną ocenę składały się stopnie z ćwiczeń prowadzonych z botaniki ogólnej, botaniki systematycznej i zielnika, do którego należało przygotować suszone zbiory w ilości 150 gatunków dowolnych grup systematycznych. Było to w okresie, kiedy wykłady z botaniki ogólnej prowadzono po dwie godziny tygodniowo przez cały rok akademicki, zarówno z botaniki ogólnej jak i systematycznej. W latach osiemdziesiątych liczbę tych wykładów zredukowano do połowy. Wpłynęło to

negatywnie na poziom wiedzy studentów. Zajęcia dydaktyczne prowadziłem przede wszystkim dla studentów Uniwersytetu MCS w Lublinie oraz przejściowo – dodatkowo dla studentów Akademii Rolniczej w Lublinie. Lista tych zajęć jest następująca: wykłady z botaniki systematycznej – dla studentów biologii; wykłady z fitosocjologii dla studentów biologii i Akademii Rolniczej w Lublinie; wykłady z dendrologii dla studentów biologii; wykłady z biogeografii dla studentów geografii i biologii; wykłady z geografii roślin dla studentów biologii; seminaria dla studentów botaniki UMCS i Akademii Rolniczej; wycieczki dydaktyczne dla studentów biologii i geografii; praktyki dla studentów biologii; ćwiczenia laboratoryjne i terenowe dla studentów biologii.

Ochrona przyrody

Problem ochrony przyrody był dla mnie przed wojną zupełnie obcy. Znałem rośliny objęte ochroną gatunkową, ale nie wiedziałem co to są pomniki przyrody, rezerwaty i inne formy ochrony. Badając od 1948 roku wąwozy okolic Lublina stwierdziłem na podstawie występujących w nich rzadkich roślin, że niektóre zasługują na ochronę rezerwatową. Ponieważ w ich składzie znajdowała się duża liczba gatunków objętych ochroną prawną. W ten sposób wystąpiłem z pierwszymi wnioskami ochronnymi do prof. W. Szafera, a później do Wojewódzkiego Konserwatora Przyrody w Lublinie.

W czasie postępu moich badań po uzyskaniu stopnia magistra sieć rezerwatów stale się powiększała. Myślałem o parkach narodowych. Kiedy badałem lasy okolic Zwierzyńca ówczesny nadleśniczy nadl. Kosobudy, Marcei Mełgies, później wieloletni dyrektor Ojcowskiego Parku Narodowego udzielał mi bazy noclegowej, wyżywienia, a dwukonną bryczką obwoził po lasach tego pięknego terenu. Był on wielkim miłośnikiem przyrody i realizatorem pomników przyrody oraz rezerwatów na swoim terenie. Podzieliłem się z nim myślą utworzenia w lasach zwierzyńcko-kosobudzkich Parku Narodowego.

W owym czasie większą wagę w tym zakresie miały wnioski wywodzące się od ludzi pracy. Poprosiłem też malarzkę i nauczycielkę Aleksandrę Wachniewską o informacje na temat historii Zwierzyńca. Opracowałem je i przekazałem do redakcji „Chrońmy Przyrodę Ojczystą” pod autorstwem A. Wachniewskiej. Kiedy do prof. Motyki przyjechał w 1952 r. obecny profesor K. Izdebski i miał zająć się badaniami lasów Roztocza, opracowaliśmy wspólnie wniosek o powołanie Roztoczańskiego Parku Narodowego. Wniosek wydrukowany został w 1959 r. w „Sylwanie”. W tym samym czasie opublikowana została moja inna praca, w której zasygnalizowałem potrzebę utworzenia Poleskiego Parku Narodowego.

Rozpoczęły się intensywne starania o realizację nie tylko rezerwatów, ale i Roztoczańskiego Parku Narodowego. Dla uzyskania lepszych efektów w tym zakresie współpracowałem z Ligą Ochrony Przyrody (LOP), Polskim Tow. Turyst.-Krajozn. (PTTK), PAX, PZŁ (Polskim Związkiem Łowieckim), PZW (Polskim Związkiem Wędkarskim). W ostatnich latach zaprojektowałem utworzenie

Janowskiego i Chełmskiego Parku Narodowego. Stopniowo „kruszyły się lody”: powstał Roztoczański Park Narodowy (1974), Poleski Park Narodowy (1991), powołano 88 rezerwatów. Zaprojektowałem jednak co najmniej trzykrotnie więcej, ale jak dotąd jeszcze nie zostały zrealizowane.

W latach sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych Państwowa Rada Ochrony Przyrody powołała duże nowe formy ochrony krajobrazowej: parki krajobrazowe i obszary chronionego krajobrazu. Opracowałem podstawową sieć tych obiektów ochronnych, a prof. Tadeusz Wilgat podbudował ją elementami ogólnogeograficznymi. Dzięki temu odpowiednie urzędy wojewódzkie mogły te obiekty zatwierdzić mimo wielu okresowych niepowodzeń i utrudnień ze strony niektórych decydentów.

Robiłem starania, aby wszystkie obiekty ochronne były względnie dobrze opracowane pod względem występującej szaty roślinnej. Bibliografia w tym zakresie liczy ponad 200 pozycji. W ostatnich latach uaktywnili się i zoologowie, a ich doniesienia zajmują podobną liczbę pozycji. W staraniach o powoływanie obiektów ochronnych wyróżnili się też wojewódzcy konserwatorzy przyrody i duża rzesza leśników.

Na terenie Roztocza sprawę obiektów ochronnych badał prof. K. Izdebski.

Obok ochrony konserwatorskiej wkładałem nie mniej czasu i energii w ochronę lasów przed zrębami zupełnymi oraz łąk przed tzw. melioracją. Właściwie polegała ona na gwałtownym osuszaniu wszystkiego, co w okresie maksymalnych stanów wód gruntowych podlega nawet tylko krótkotrwałym podtopieniom.

Najczęściej ochroną przyrody zajmowali się leśnicy. Około 1950 r. eksploatacja lasów prowadzona była systemami przerębowymi, które gwarantowały naturalny sposób odnowienia się lasu. Leśnicy chlubili się przede mną pięknymi naturalnymi odnowieniami i mało kłopotliwą pielęgnacją młodych lasów. Nie trwało to jednak długo, gdyż wkrótce po 1950 r. wprowadzono na niżu zręby zupełne na określonych szerokością pasach leśnych. Zarządzenia odgórne ówczesnego Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego zmuszały służbę leśną do przestrzegania wydanych przepisów i zasad urządzenia lasów.

Działacze zajmujący się ochroną przyrody nazwali leśników w jednym z dzienników „rzeźnikami lasu”. Określenie to było zasadne w stosunku do decydentów Ministerstwa i stosunkowo bardzo małej grupy młodych leśników. Urażało natomiast wielu leśników-przyrodników, którzy poza drewnem widzieli wiele innych cech związanych z lasem; przede wszystkim rozumieli konieczność zachowania różnicowania biologicznego ekosystemów leśnych.

Z biegiem lat władze leśne łągodziły systemy eksploatacji lasów, zwłaszcza dlatego, że zatrważająco szybko rozpoczął się proces zamierania lasów, zwłaszcza szpilkowych, wskutek zanieczyszczenia powietrza emisjami przemysłowymi i okresowego opadania kwaśnych deszczy. Monokulturowe nasadzenia sosną na zrębach leśnych są nadal prowadzone, a lasy w Polsce, zwłaszcza znane mnie bardzo

dobrze na Lubelszczyźnie, przybierają w coraz większym stopniu charakter monokultur leśnych.

W licznych wystąpieniach wyrażałem dezaprobataę dla dotychczasowej gospodarki leśnej.

Na terenach objętych parkami narodowymi, parkami krajobrazowymi oraz w ich strefach ochronnych, nadto na obszarach chronionego krajobrazu i rezerwach nie powinno się prowadzić żadnych zabiegów melioracyjnych. Tym samym rygorom winny być poddane przez geobotaników i zoologów projektowane obiekty ochronne, które z różnych powodów nie doczekały się zatwierdzenia. Ochronie przed osuszeniem winny też podlegać wszystkie małe i duże naturalne zbiorniki wodne, a także wszelkie mokradła oraz wszystkie ekosystemy leśne. Doliny cieków wodnych i rzek winny być przed melioracją dokładnie zbadane przez geobotaników i zoologów oraz poddane waloryzacji przyrodniczej. Melioracje winny opierać się nie tylko na osuszeniu, ale jednocześnie nawadnianiu i deszczowaniu pól oraz suchszych odcinków dolin rzecznych.

Dorobek naukowy

Działalność naukową rozpocząłem już wczesną wiosną 1947 r. jako student I roku biologii. Dr L. Rewiński adiunkt Zakładu Botaniki Ogólnej UMCS zabrał mnie do lasów janowskich. Studiowała u nas wówczas córka nadleśniczego z Janowa – Wójcicka, a jej Ojciec umożliwił nam kilkudniowy pobyt w Nadleśnictwie, wyżywienie, i oddał do dyspozycji kolejkę wąskotorową z Janowa do Lipy. Kolejka zatrzymywała się na nasze żądanie i przywoziła nas do bazy. Poznałem wówczas wiele roślin, sporo zebraliśmy do pierwszych naukowych zbiorów zielnikowych. Latem tego roku prof. Motyka zorganizował wyprawę kilkudniową razem z geografami, prof. Malickim i jego asystentem aktualnie prof. Maruszczykiem. Wówczas zbierałem rośliny do zielnika, żywe zaś z ziemią – do plecaka. Zostały posadzone w Ogrodzie Botanicznym. Były to głównie rzadkie rośliny stepowe, często nie występujące na Lubelszczyźnie.

Pamiętam, jak prof. Malicki odkrył w ścianie lessowej, ślady paleniska i przypaloną pszenicę. U podnóża zbocza odkryliśmy całe rzędy naczyń glinianych. Kilka z nich zapakowaliśmy na miejscu i przestaliśmy do ówczesnego archeologa na UMCS prof. Noska.

Latem byłem z prof. Motyką jeszcze na kilkunastu wycieczkach. Kilka dni gościliśmy w Szczebreszynie w rodzinie doktora medycyny Chomickiego. Po raz pierwszy przebywałem w tak luksusowych warunkach. Córka tych państwa poślubiła później prof. Dobrzańskiego – kolegę prof. Motyki. Wędrowaliśmy wówczas po licznych wąwozach i wierzchoinach. Zbierałem wszystkie napotkane kwitnące lub owocujące rośliny do zielnika, a rzadkie do posadzenia w Ogrodzie Botanicznym. Pod koniec okresu wegetacyjnego 1947 r. miałem już ogromny, uporządkowany i oznaczony przez prof. J. Motykę zbiór roślin zielnikowych. Pojedyncze okazy z poszczególnych gatunków wydzieliłem do nauki. Zielnik

liczył wówczas blisko 1500 gatunków. Jesienią i zimą codziennie przeglądałem zbiory, starając się zapamiętać nazwy roślin. Arkusze z utrwalonych nazw, odkładałem na oddzielny stos. Tak powoli doszedłem do poznania nie tylko nazw, ale i warunków, w jakich poszczególne gatunki rosły. Dla utrwalenia czynność przekładania powtarzałem z przerwami przez całą zimę. Jednocześnie oznaczałem zbiory wykonane bez udziału prof. Motyki. Gdy wiosną 1948 r. profesor zaczął zabierać mnie znowu z sobą, stwierdziłem że w niektórych przypadkach musiałem go poprawiać. Przesłał więc jeździć po terenie prawie zupełnie. Zlecił mnie opracowanie łąk i kontrolę ankiet roślinnych opracowanych przez nadleśnictwa w Polsce. Moja praca miała być ograniczona do byłego województwa lubelskiego. Dał mi też temat pracy magisterskiej o szacie roślinnej wąwozów okolic Lublina (w promieniu około 10 km od miasta). Badania lasów i łąk związane były z płatnym zleceniem jakie otrzymał Profesor z odpowiednich ministerstw. Było to pierwsze i ostatnie zarazem zlecenie, jakie kiedykolwiek w przyszłości uzyskała Katedra i Zakład Systematyki i Geografii Roślin UMCS. Profesor krytykował bowiem meliorację i był wrogiem zrębowych systemów eksploatacyjnych lasów. Stanowisko to podzielałem także od samego początku.

Badając samodzielnie lasy poznałem wszystkie duże i małe kompleksy leśne na Lubelszczyźnie.

W tym czasie poszukiwano w lasach, zwłaszcza Roztocza, zbiegłych oficerów AK. Ponieważ przemieszczałem się z plecakiem, torbą skórzaną i saperką do badań glebowych, byłem podejrzany. W jednym z lasów koło Wysokiego w czasie normalnych czynności spisywania roślin i opisywania drzewostanów, zobaczyłem przechodzących z pepeszami 2 żołnierzy UB. Spostrzegli mnie dopiero kilka metrów przede mną. Wiedziałem, że w czasie legitymowania należy stać nieruchomo, gdyż w przeciwnym przypadku grozi to użyciem broni przez legitymujących. Trzymałem ręce z piórem przy piersiach. Odezwałem się pierwszy i zapytałem, czy przypadkiem nie poszukują mojej osoby. Poinformowałem ich grzecznie, że jestem pracownikiem UMCS i prowadzę badania terenowe. Mieli pretensje, iż się nie zameldowałem na posterunku milicyjnym. Odpowiedziałem im, że zawsze melduję się wieczorem u sołtysa, prosząc jednocześnie o nocleg w stodole, na sianie. Kiedy nie legitymując mnie odchodzili – zatrzymałem ich, aby zobaczyli, czy nie mam czegoś w plecaku. Po pewnym czasie niedaleko drogi leśnej opisywałem następny obiekt, drogą przechodziło kilkunastu milicjantów i ormowców z bronią. Jednakże mnie już nie zaczepiali.

Ciekawe przejścia miałem przy granicy wschodniej. W owym czasie nie wolno było kręcić się w pobliżu granicy, a zwłaszcza w strefie oddalonej o 4 km od bronowanego pasa. Na niektórych odcinkach meldowałem konieczność badań (np. Gródek, Czumów) interesujących florystów zbrocy. Kilka razy dostawałem do opieki żołnierza WOP. Raz bez takiej ochrony zapuściłem się nad Bug w okolicach Mircza. Wieczorem poszedłem do sołtysa prosząc o nocleg. Zjawili się kilku cywilów z bronią pytając kim jestem. Zobaczyli plik map w skali 1:100000 zabrali

je i odeszli. Dowiedziałem się, że byli to partyzanci UPA. Prawdopodobnie uratowały mnie poszukiwane przez nich mapy. Kiedy badałem lasy strzeleckie k/Hrubieszowa, gajowy – już wieczorem wyprowadził mnie z pobliza granicy do traktu środkowego w kierunku nadleśnictwa Strzelce, gdzie miałem przenocować. W kilka minut później pojawili się na horyzoncie tej drogi dwaj żołnierze WOP-u. Aby nie wzbudzać podejrzenia strachu z mojej strony, z powodu nielegalnego przebywania przy granicy zrezygnowałem więc z dalszych badań i szedłem prosto do nich. Rozkraczeni i uzbrojeni żołnierze zeszli na bok drogi, wówczas zwolniłem i przeszedłem bez pozdrowienia i próby zatrzymania z ich strony.

Gdy przeprowadzałem badania lasów, prawie zawsze towarzyszyli mi leśnicy. Mieli bowiem polecenie z Okręgowego Zarządu Lasów Państwowych w Lublinie udzielenia mi pomocy, gdyż wykonywałem zlecenie Ministerstwa Leśnictwa i Przemysłu Drzewnego. Ponieważ był to krótki okres zaleceń pozyskiwania drewna metodą przerębową i naturalnego odnawiania lasów, wszyscy leśnicy czuli się zobowiązani do pokazywania mi doskonałych efektów w odnowieniach metodami naturalnymi. Kiedy później zarządzenia centralne odwołały te metody wprowadzając zręby zupełne, stałem się nieprzejednanym przeciwnikiem gospodarki zrębowej dewastującej siedlisko.

W wyniku przeprowadzonych badań lasów wykonałem pracę doktorską o wpływie niektórych czynników ekologicznych na rozmieszczenie drzew leśnych. Praca ta została oceniona pozytywnie i wydrukowana. Była to jednocześnie moja praca kandydacka, a potem doktorska. Zanim do tego doszło zostałem skierowany przez władze UMCS na studia aspiranckie. Studia trwały trzy lata. W tym czasie teoretycznie nie mogliśmy mieć innych zajęć, praktycznie jednak poza wykonywaniem pracy aspiranckiej – kandydackiej prowadziliśmy zajęcia ze studentami. Równocześnie zajmowałem się budową ogrodu botanicznego w Miasteczku Uniwersyteckim. Poza pracą było jeszcze dodatkowych kilka egzaminów o rozszerzonym zakresie w stosunku do studiów normalnych (u mnie z gleboznawstwa, klimatologii, języka obcego, geografii roślin i systematyki roślin). Najważniejszy był jednak egzamin z marksizmu-leninizmu. Jeździliśmy często na konsultacje do wyznaczonych marksistów w Warszawie do Wyższej Szkoły Służby Zagranicznej. Lokalni marksiści nie mieli prawa udzielania nam takich konsultacji.

Egzamin w Warszawie poprzedziło co najmniej jeszcze tygodniowe przygotowanie, prowadzone przez profesorów marksizmu-leninizmu. Tam też zastała nas wówczas wiadomość o zgonie Stalina. W komisji egzaminacyjnej był między innymi ówczesny rektor prof. B. Dobrzański, a egzaminatorem prof. Adler. Nieznaczny tylko procent przybyłych z całej Polski egzamin ten zdało.

Dalej moje sprawy kandydackie nie potoczyły się tak szczęśliwie. Pracę moją oceniono pozytywnie, taką opinię przedstawił również recenzent (prof. Czubiński), powołany przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną przy Ministerstwie. Odbyła się publiczna obrona pracy, na podstawie której wysłano wniosek o nadanie mi tytułu kandydata nauk. W owym czasie bowiem zniesiono stopnie doktora,

a wprowadzono kandydata nauk. Dawał on uprawnienia samodzielnych pracowników nauki, jakimi byli docenci i profesorowie. Mojego wniosku nie zatwierdziła Centralna Komisja Kwalifikacyjna. Wkrótce jednak zniesiono CKK i stopień kandydata nauk, a przywrócono stopnie doktora. Automatycznie tą drogą otrzymaliśmy stopnie naukowe doktorów. Miałem już wówczas blisko 30 publikacji drukowanych. W tym też okresie wzmożła się moja praca dydaktyczna i naukowa oraz w Ogrodzie Botanicznym. Robiliśmy nowe starania o uzyskanie nowego terenu pod ogród na Sławinku. Mój szef miał też kilkuletnie zlecenie badania łąk. Współpracowałem wówczas z profesorami Dobrzańskim i Zawadzkim. Równocześnie ukazało się kilka prac tych badaczy. W tym też okresie prowadziłem rozeznanie badań na całej Lubelszczyźnie. Przeszedłem wiele dolin i torfowisk. Zwykle znajdowałem mnóstwo rzadkich roślin, zarówno w lasach jak i w stepach, łąkach i bagnach. Ponad 200 zdjęć (spisów roślin) fitosocjologicznych opracowałem dla prof. Motyki. Były to pracochłonne przeliczenia statystyczne. Nie mogłem dać sobie już rady i prosiłem o przeliczenie starszego brata Alfonsa. Profesor rozliczył się ze zlecenia, lecz materiały jego zostały oddane na makulaturę i wszelki ślad po nich zaginął. Rozpoczęte przeze mnie badania łąk stały się impulsem do przeprowadzenia szczegółowych badań na Pojezierzu Łęczyńsko-Włodawskim.

Dzięki inicjatywie znanego zoologa prof. Brzęka, uczestniczyłem w jego ekipie badawczej jezior sosnowieckich. Ponieważ prowadzili oni badania tylko kilku jezior, sam objąłem badaniami całe Pojezierze. Sprawę ułatwiło mi ukazanie się na rynku około 1955 r. łodzi pontonowych. Dźwigałem jedną z nich od jeziora do jeziora, a także pływałem po 72 jeziorach, badając rozmieszczenie poszczególnych gatunków i zbiorowisk. Po czterech latach przygotowałem pionierską publikację, gdzie zastosowałem po raz pierwszy porządkowanie fitosocjologiczne zbiorowisk, czego dotychczas nie tolerował prof. Motyka. Ustąpił, gdyż nie zatwierdzono mi tytułu kandydata nauk. Obszerna i syntetyczna praca pt. *Szata roślinna jezior i przylegających do nich torfowisk* wyszła drukiem w 1960 r. Zamiarem mojego przełożonego było dążenie, abym habilitował się z badań nad florą Lubelszczyzny.

W owym czasie znałem już bardzo dobrze ten teren, miałem ponad 30 publikacji z flory leśnej, łąkowej, wodnej, stepowej i synantropijnej. W Polsce znano mnie jako odkrywcę ciekawej flory roślin naczyniowych Lubelszczyzny. Nie wszyscy jednak profesorowie byli pewni, czy flora może być rozprawą naukową. Gdy jednak drukiem wyszła praca o szacie roślinnej jezior Łęczyńsko-Włodawskich, uznano że jest to najodpowiedniejsza rozprawa habilitacyjna. Pozytywne recenzje przeprowadzili profesorowie Z. Czubiński z Poznania i Tołpa z Wrocławia (znany wynalazca preparatów torfowych, leczących raka i zmiany miażdżycowe). Dopiero po latach od uzyskania stopnia doktora zostałem zatwierdzonym przez nasze Ministerstwo docentem habilitowanym. Stałem się od tej chwili samodzielnym pracownikiem naukowym. Dostawałem propozycje objęcia katedr: Ekologii przy SGGW w Warszawie i Łąkarstwa przy obecnej Akademii Rolniczej w Lublinie.

Pozbywając się wreszcie strachu przed krytyką przedstawiłem swoje poglądy w syntetycznych wydaniach książkowych o synantropach Lubelszczyzny, łąkach i lasach Lubelszczyzny oraz w syntetycznym zestawie wszystkie zespoły Lubelszczyzny. Przedstawiłem dużo materiałów do krytyki, sądzę jednak, że gdybym dalej naśladował systemy fitosocjologiczne, przyszli krytycy nie mieli by co krytykować. W międzyczasie wiele jednostek opisanych przeze mnie już ginie lub w ogóle nie istnieje. Podobne otwarte stanowisko zdecydowałem się zająć podając do druku rękopis flory Lubelszczyzny – wynik mojej najuczciwszej pracy terenowej. Realizując pracę naukową wykorzystałem w sposób maksymalny wszystkie wolne godziny świąteczne i przysługujące mi urlopy nawet bezpłatne. Przez ponad 20 pierwszych lat pracy nie korzystałem z nich zupełnie. Z działalnością naukową wiąże się także opracowanie różnych recenzji. Do tytułu profesora opracowałem 5 recenzji, doktora habilitowanego – 15, doktora – 33, recenzji do prac drukowanych ponad 200.

Poniżej przedstawiłem mój udział w różnych organizacjach naukowych:

Członek grupy 5000 najbardziej zasłużonych ludzi świata.

Członek Nowojorskiej Akademii Nauk.

Członek Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego.

Członek Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Botanicznego

Członek Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Botanicznego

Członek Towarzystwa Przyrodników im. M. Kopernika

Członek Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Geograficznego.

Długoletni członek Lubelskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Gleboznawczego.

Gdy obejmowałem kierownictwo Zakładu Systematyki i Geografii Roślin przestrzegano mnie przed kłopotami ze strony pracowników – aktywistów partyjnych ze stopniami doktora i docenta habilitowanego. Sam nie należałem nigdy do PZPR i czułem się raczej pewnie na tym stanowisku, uznając siebie za człowieka, który wybudował Ogród Botaniczny, ma duży dorobek naukowy, jest pracowity, zebrał ogromny zbiór roślin zielnikowych i nie był w konflikcie z Radą Wydziału oraz jej członkami. Tych cech jeszcze nie posiadali moi współpracownicy. Pracowników technicznych, których było 6 podzieliłem zgodnie ze stopniem i tytułem naukowym: po 2 osoby dla profesorów i po jednej dla docentów. Było to konieczne również ze względu na utrzymanie specjalizacji biologicznej prof. Kazimierza Karczmarza, lichenologicznej dla prof. Jana Bystrka, a potem i geobotanicznej dla prof. Świesa.

Wspomniani profesorowie byli na początku mojej kadencji doktorami i tylko K. Karczmarz – docentem. Pragnąłem, aby również dr Jacek Malicki wykonał pracę habilitacyjną z glonów na Lubelszczyźnie, ale on wybrał mikrobiologię i w tej dziedzinie nie uzyskał habilitacji. Odszedł do Politechniki Lubelskiej.

Pragnąłem też, aby równocześnie z moją florą roślin naczyniowych Lubelszczyzny opracowana została flora mszaków Lubelszczyzny i flora porostów Lubelszczyzny. Niestety do tej pory nie zanośnię na realizację tego przedsięwzięcia. Odnosnie młodszych pracowników naukowych, to wykonali oni w przewidzianym terminie rozprawy doktorskie (Anna Łuczycka-Popiel, Maria Wawer, Mirosława Bloch, Marek Kucharczyk, Anna Wójciak, Barbara Taranowska). Mają oni poważny dorobek naukowy.

Lubelszczyzna do ostatniej wojny była obszarem najgorzej poznanym w Polsce zarówno pod względem florystycznym, jak i geobotanicznym.

Pierwsze, nieomal coroczne moje doniesienia o odkryciach rzadkich roślin drukowane we „Fragmentach Floristica et Geobotanica” wywołały duże zainteresowanie naszym regionem. Pierwszą powojenną wyprawę naukową zorganizował do Roztocza Środkowego prof. Czubiński, ze swoimi współpracownikami. Za nimi lasami Roztocza zainteresowali się prof. W. Matuszkiewicz i prof. A. Sokołowski. Później wiele dni badań terenowych poświęciłem I. Dąbskiej, prof. M. Grynii. Pierwsza interesowała się ramienicami, druga głównie łąkami trzęślicowymi. Uniwersytetowi Poznańskiemu przekazałem mój własny bogaty zbiór ramienic z Lubelszczyzny. Z biegiem lat prowadziłem po Lubelszczyźnie niemal wszystkich florystów i geobotaników polskich.

W okresie pierwszej wojny światowej prof. Szafer przebywał w Lublinie w charakterze bakteriologa austriackiego. Pracował tu od 1917 r. w laboratorium. Często spacerował po Ogrodzie Saskim i myślał o przekształceniu go w ogród botaniczny. Rozwieszał nawet tabliczki z nazwami drzew i krzewów. Musiał jednak tego zaniechać, gdyż były one niszczone. Raz odbył wycieczkę do Sławinka z lekarzem Jaczewskim, który sugerował utworzenie tu dla mieszkańców Lublina ogrodu botanicznego. Spotkał się też z nauczycielką Heleną Koporską. W czasie wycieczki do Rur odkrył w wąwozie wiśnię kwaśną (*Cerasus acida*). Odnaleziona została ona przez mnie w wąwozie na osiedlu Czuby. Posadziłem ją przed budynkiem Biologii i Nauk o Ziemi UMCS w Lublinie, gdzie rozrosła się i utworzyła skupienie około 100 m².

Moje kontakty z prof. Szaferem dotyczyły wyłącznie ochrony przyrody. Już w 1950 r. zwróciłem się do niego o interwencję w sprawie utworzenia w granicach Lublina rezerwatów kserotermicznych. W późniejszym okresie przesłałem kilka odpisów pism kierowanych przeze mnie do Woj. Konserwatora Przyrody w Lublinie. Sądziłem, że tylko on może spowodować rozwiązanie problemów ochronnych również na Lubelszczyźnie.

W osobistych kontaktach i obserwacji uznałem prof. Szafera za nie tylko wielkiego naukowca, inicjatora różnych gałęzi botaniki, ale również za człowieka łagodnego, rozważnego i przystępnego, gdyż można było z nim zawsze szczerze porozmawiać. Takimi też byli profesorowie Bogumił Pawłowski i Zygmunt Czubiński. Z pierwszym kontaktowałem się często w Krakowie, gdzie przyjeżdżałem

w celu upewnienia się w oznaczeniu coraz nowych odkryć florystycznych na Lubelszczyźnie.

Niezwykłą radość sprawiłem prof. B. Pawłowskiemu, gdy pokazałem szczydrzeńca zmiennego (*Chamaecyphus albus*), bowiem na interwencję jego oraz prof. W. Szafera i prof. St. Kulczyńskiego gatunek ten wstawiono do *Roślin Polskich* z nadzieją, że może się znaleźć w okrojonych obszarach Polski wschodniej.

Po tragicznej śmierci prof. B. Pawłowskiego moje wątpliwości florystyczne kierowałem do prof. J. Kornasia. W jego jednak obecności czułem się zawsze niepewnie. Ceniłem go bardzo jako wielkiego znawcę flory i organizatora Instytutu Botanicznego PAN w Krakowie. Pomógł mi sporo przy florze roślin naczyniowych Lubelszczyzny.

Niezwykle serdecznie wspominam stosunki z prof. Zygmuntem Czubińskim. Żywo interesował się zakładanym przeze mnie Ogrodem Botanicznym, przede wszystkim ochroną przyrody na Lubelszczyźnie. Był tu kilkanaście razy w ramach różnych komisji, wypytywał o wszystko co dotyczyło ochrony przyrody na Lubelszczyźnie i przyspieszał w Państwowej Radzie Ochrony Przyrody powołanie pierwszych rezerwatów. Moją „kariere naukową” zawdzięczam przede wszystkim jemu. W nim straciłem przedwcześnie najlepszego przyjaciela.

Okres Polski Ludowej nie był sprzyjający dla kontaktów zagranicznych. Na wyjazdy do krajów demokracji ludowych nie miałem czasu, gdyż w okresach wegetacyjnych prowadziłem intensywne badania terenowe. Sukcesy, jakie odnosiłem na Lubelszczyźnie oraz moja dobra znajomość niemieckiego spowodowały zainteresowania zwłaszcza botaników niemieckich. Przybywali oni małymi grupami, głównie z Uniwersytetu w Halle, potem z uczelni wyższych z Drezna i Berlina. Byli to przede wszystkim doktorzy i profesorowie Succop, Klotz, Schmidt, Pietsch oraz Hundt.

Interesowali się przede wszystkim Pojezierzem Łęczyńsko-Włodawskim i zespołami kserotermicznymi na Wyżynie Lubelskiej.

Łącznie poświęciłem im ponad jeden miesiąc pobytu w terenie. Zainteresowanie naszym Pojezierzem wykazywała zwłaszcza kilkakrotnym przyjazdem dr Balatowa-Tulackowa. Była niezmordowana w badaniach terenowych; brodziła po zalanych wodą bagnach, przechodziła po przygiętych drzewkach, pełnych wody rowach melioracyjnych, przemierzała szarpiące nogi pola kłoci wiechowatej, a sypiała w stodołach.

Krótkotrwałe wizyty z okazji zjazdów naukowych składało na Lubelszczyźnie kilkadziesiąt osób z różnych krajów: z Włoch, ze Szwajcarii, z Czechosłowacji i z Kanady. Byli też naukowcy z Indii, Japonii, Związku Radzieckiego, Bułgarii, Węgier, Rumunii. Trwalsze kontakty utrzymywałem z Uniwersytetami w Holandii, Halle, Berlinie i Bohum.

Jeszcze przed oficjalnym otwarciem Ogrodu Botanicznego UMCS prowadzono wymianę nasion i owoców z kilkunastoma ogrodami botanicznymi w Europie.

Żywa była też wymiana publikacji z kilkudziesięcioma pracownikami naukowymi niemal całego świata.

Jestem typowym regionalistą. Naukowo pracowałem tylko na Lubelszczyźnie – w dawnych granicach województwa lubelskiego. Po reorganizacji administracyjnej w 1976 r. województwo to mieści się w granicach 6 województw: woj. siedleckie zajmuje około 30% dawnego lubelskiego, białskopodlaskie – 80% i tarnobrzeskie – około 30%. Pozostałe województwa – lubelskie, chełmskie i zamojskie weszły całkowicie do szeroko pojętej Lubelszczyzny. Tylko jedna moja publikacja o ochronie przyrody i środowiska naturalnego w Polsce środkowowschodniej obejmuje zasięgiem wszystkie 6 województw. Cały mój dorobek wydawniczy, liczący ponad 300 pozycji drukowanych pochodzi więc z Lubelszczyzny. Charakter ogólny ma tylko kilka drobnych artykułów. Wszystkie publikacje powstały w wyniku moich badań terenowych. W przypadku gdy towarzyszyli mi inni botanicy lub pomagali przy kameralnym opracowaniu wyników zostali dopisywani, jako współautorzy. Wszystkie publikacje wywodzą się z badań roślin naczyniowych. Tylko prace o charakterze geobotanicznym, zawierające zdjęcia fitosocjologiczne, obejmują w swoich wykazach mszaki i porosty naziemne oraz niektóre glony (ramienice). Ponad 50% publikacji dotyczy bezpośrednio lub pośrednio ochrony przyrody. Odnosi się to szczególnie do ochrony gatunkowej, pomnikowej, rezerwatów, parków narodowych i obszarów chronionego krajobrazu. Charakter książkowy ma 17 pozycji. Prace naukowo-badawcze zajmują blisko 200 pozycji, a popularno-naukowe pozycji 35. Artykułów gazetowych napisałem 20.

Ponad 150 artykułów napisali o mnie różni redaktorzy w dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach. Wszystkie one zostały w znacznej części podyktowane przeze mnie, lub oparte na moich szczegółowych informacjach. To samo dotyczy audycji telewizyjnych. Łącznie było ich około 20, a radiowych ponad 50.

Moje życie było i jest ciągłą walką o lepsze warunki bytowe, o tytuły i stopnie naukowe, o realizację celów wydawniczych i innych. Walkę tę wygrałem w zakresie naukowym – połowicznie w życiu prywatnym.

Mam satysfakcję, że służyłem nauce i społeczeństwu najlepiej jak umiałem.

The path to knowledge and scientific degrees

SUMMARY

Dominik Fijałkowski was born on the 14th of March 1922, at the village of Huta Borowska, in the Lublin province. He went to elementary school at Trzciniec and Chodel. Being the best school-leaver at the Chodel school, he was given a grant by the Chodel authorities to pay for his further education. In 1939 he finished a three-year Secondary Horticultural School at Kijany.

During the German occupation of Poland, he was a forced farm labourer in Germany, in the vicinity of Halle (Salzminder, Wormsleben, Gerbstedt).

When the war ended, he returned to Poland, where he passed school-leaving exams at J. Zamoyski Gimnazjum and Liceum in Lublin. In 1945 he enrolled at the Maria Skłodowska-Curie University in Lublin for a preparatory course, and in 1946 he became a first-year student of biology at that University.

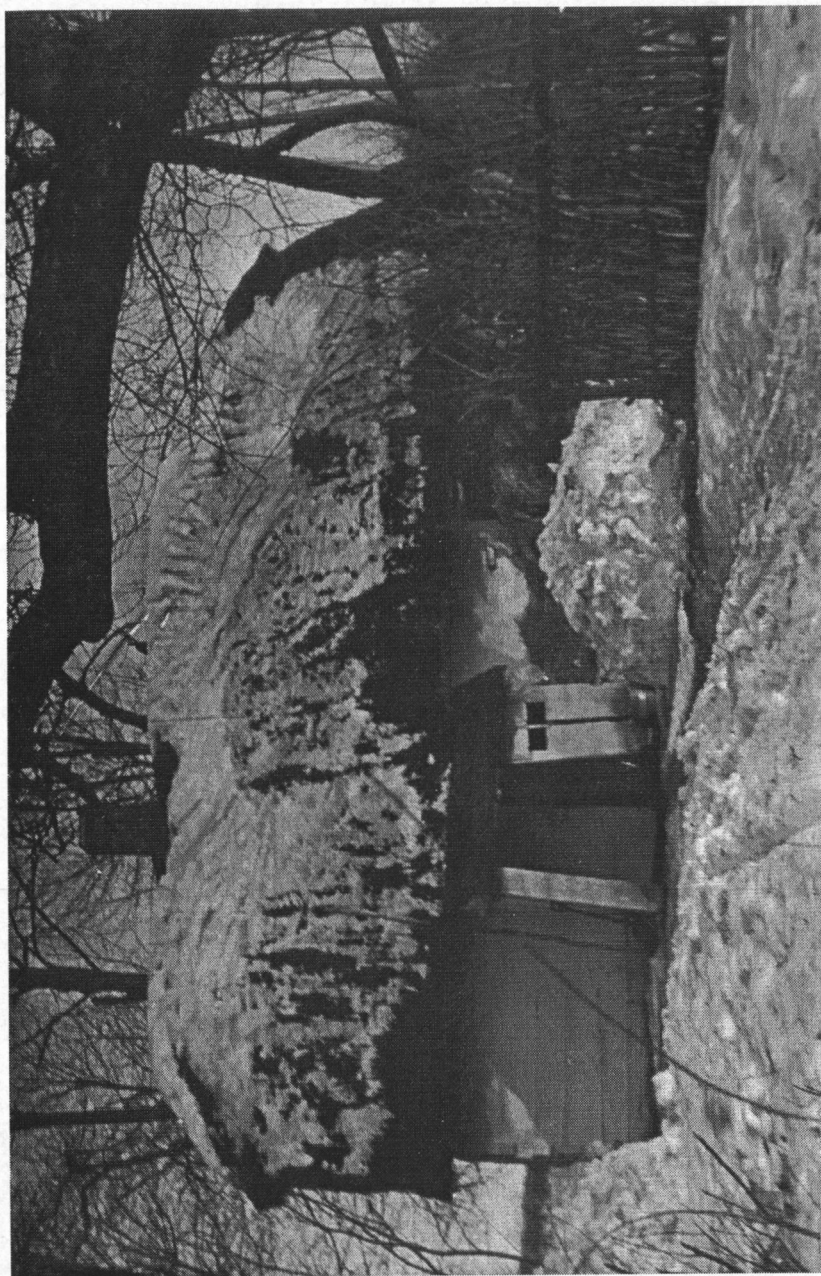
When he was still in his first year studies, Dominik Fijałkowski was offered by Prof. Józef Motyka, Head of the Chair of Plant Systematics and Geography of the Maria Skłodowska-Curie University, a chance to do research and to teach, and above all he asked to establish a Botanical Garden in Lublin.

In 1950 Dominik Fijałkowski received his master's degree, for a thesis on geobotanical research of the gullies in the environs of Lublin. In 1959 he was awarded a doctoral degree, after defending a dissertation on ecological research of the forests of the Lublin region. In 1961 he was awarded the degree of "habilitated" doctor and made "docent", for a dissertation on the plant cover of Łęczna-Włodawa lake district. In 1971 he became an associate professor, and in 1991 - a full professor of the Maria Skłodowska-Curie University.

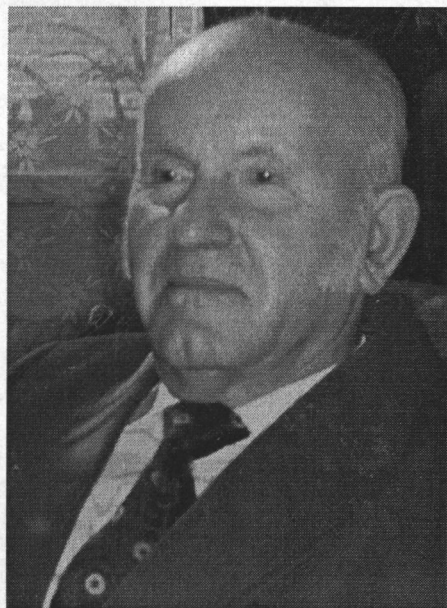
In the years 1965-1970 he was Head of the University's Botanical Garden, which he had been responsible for establishing, and in the years 1970-1992 (until his retirement) he was Head of the Division of Plant Systematics and Geography of the Maria Skłodowska-Curie University.

Professor Fijałkowski conducts geobotanical research on flora and plant communities. He is an active campaigner for the protection of the natural environment of the Lublin region. He has written 17 books and over 300 scientific and popular science articles.

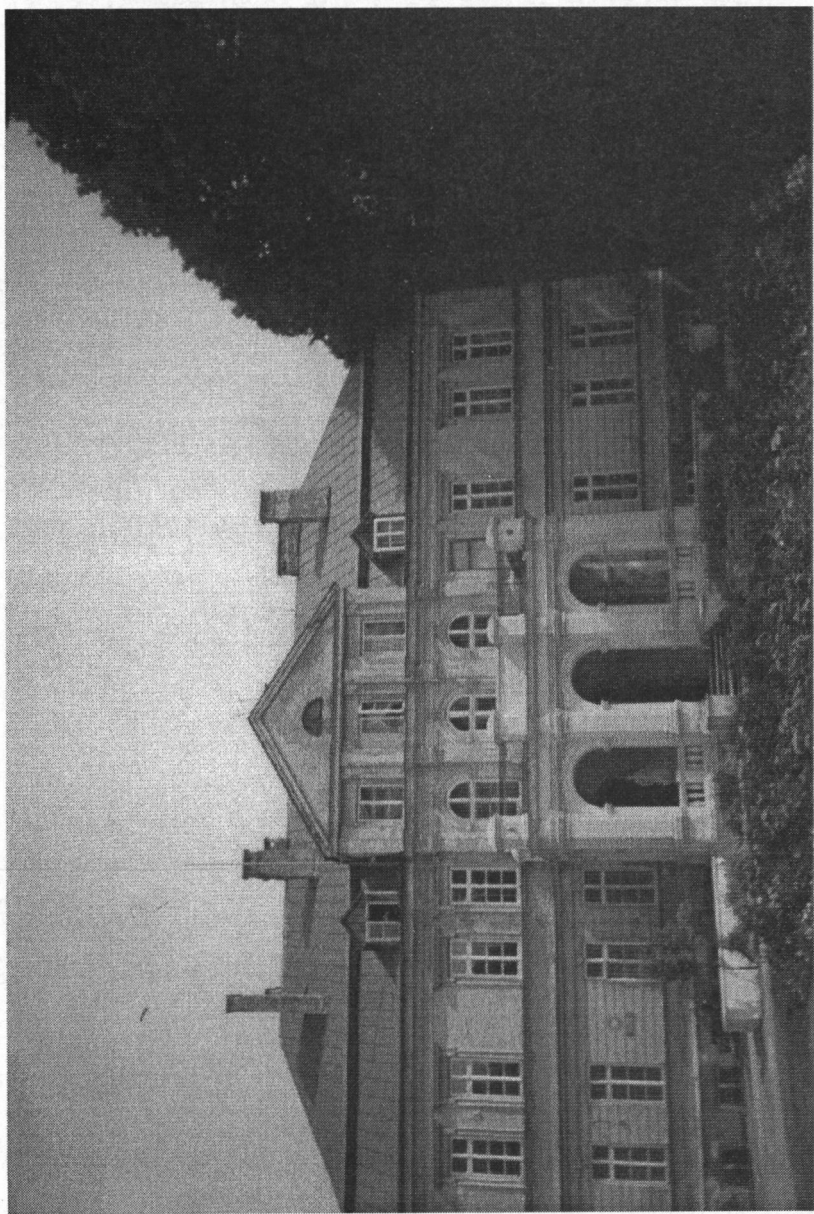
He is member of the New York Academy of Sciences, the American Geographical Society, and several scientific and public associations in Poland.



Ryc. 1. Dom rodzinny, rozebrany około 1980 r.



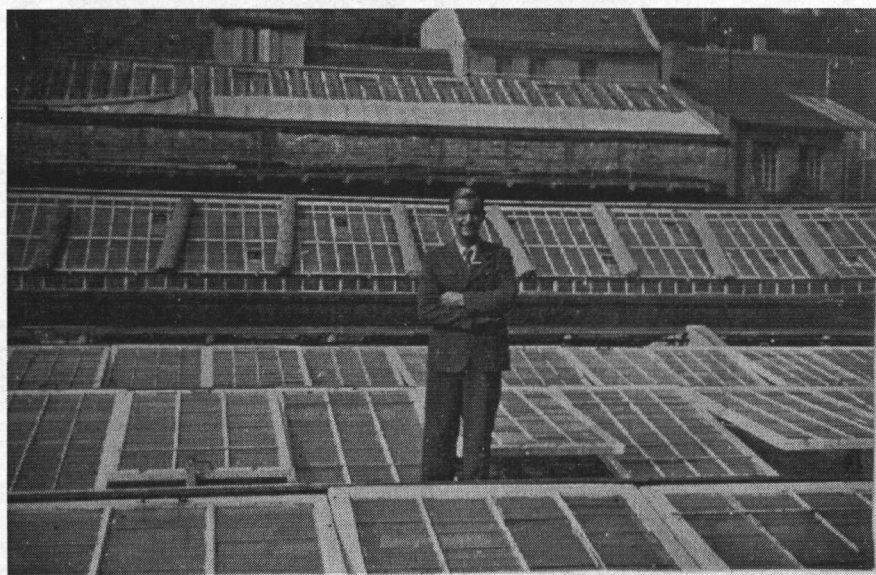
Ryc. 2. Rodzice Autora
i Autor: w r. 1950 i 1996



Ryc. 3. Pałac dydaktyczny i bursa średniej Szkoły Ogrodniczej w Kijanach



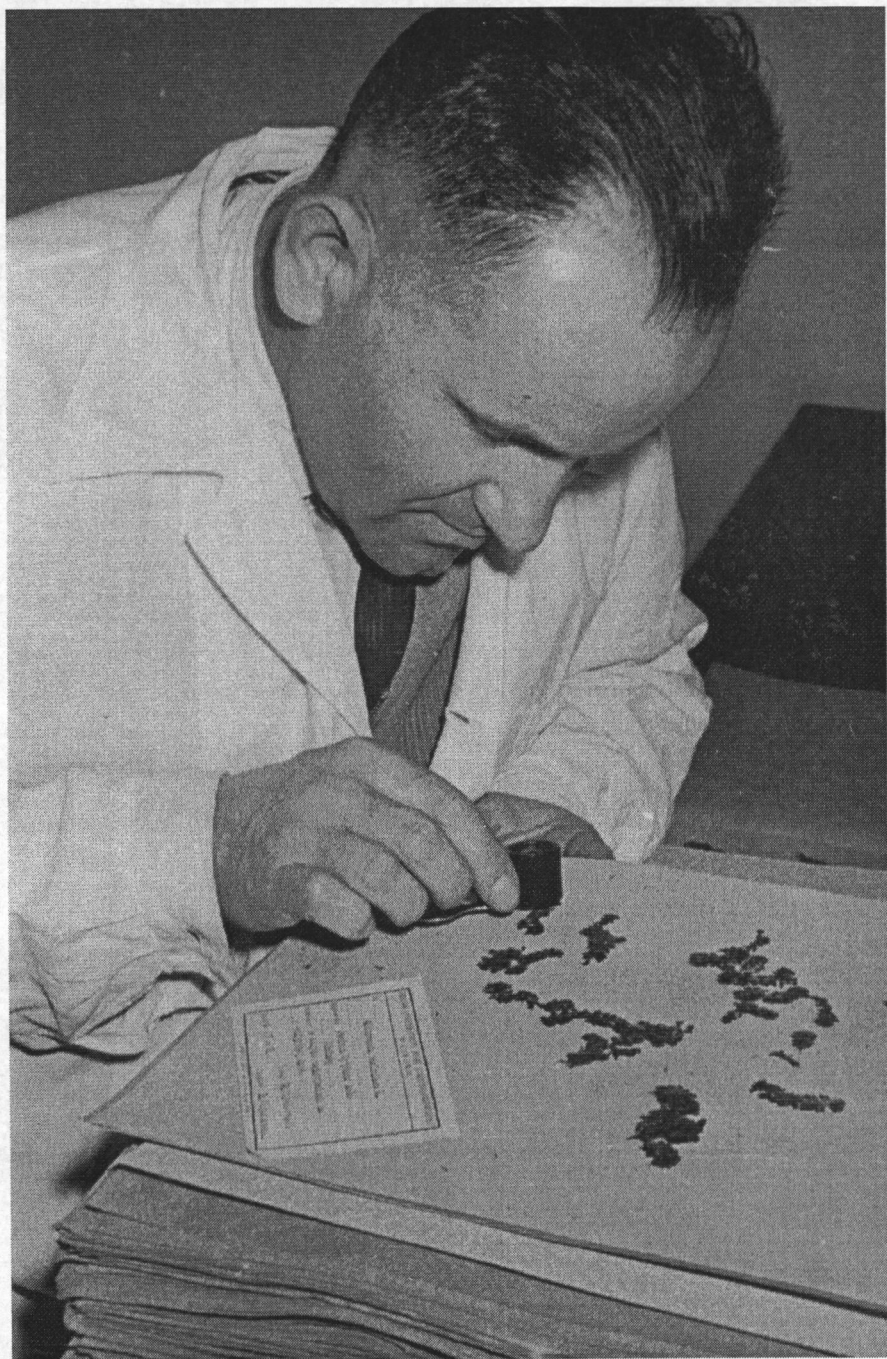
Ryc. 4. Saltzmünde (Niemcy 1940 r.)
– jedna ze szklarni z produkcją fiołków alpejskich.



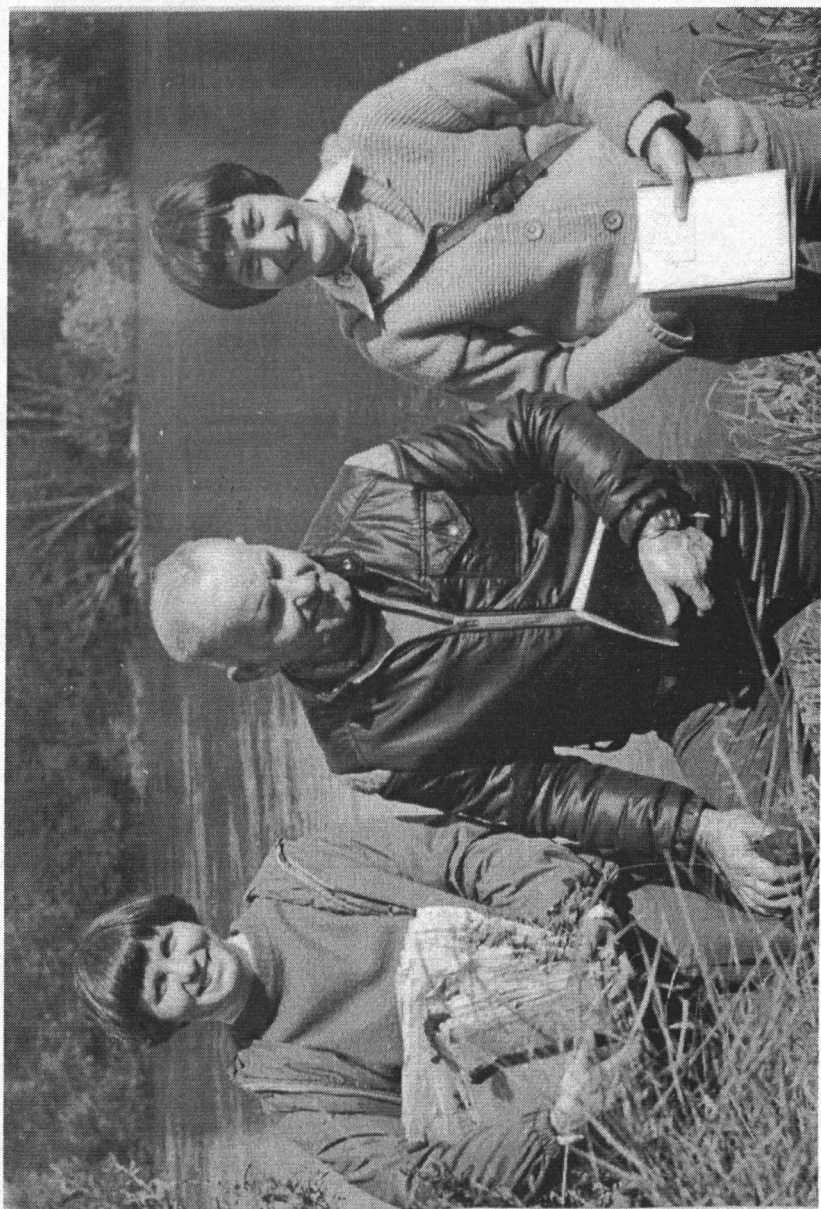
Ryc. 5. Gerbstadt (niemcy 1945 r.)
– fragment inspektów i szklarni firmy Körber.



Ryc. 6. Rogów k. Grabowca.
Odkrycie nowego stanowiska dziewięciśliu popłocholistnego.



Ryc. 7. Identyfikacja aldrowandy pęcherzykowej odkrytej na Lubelszczyźnie.



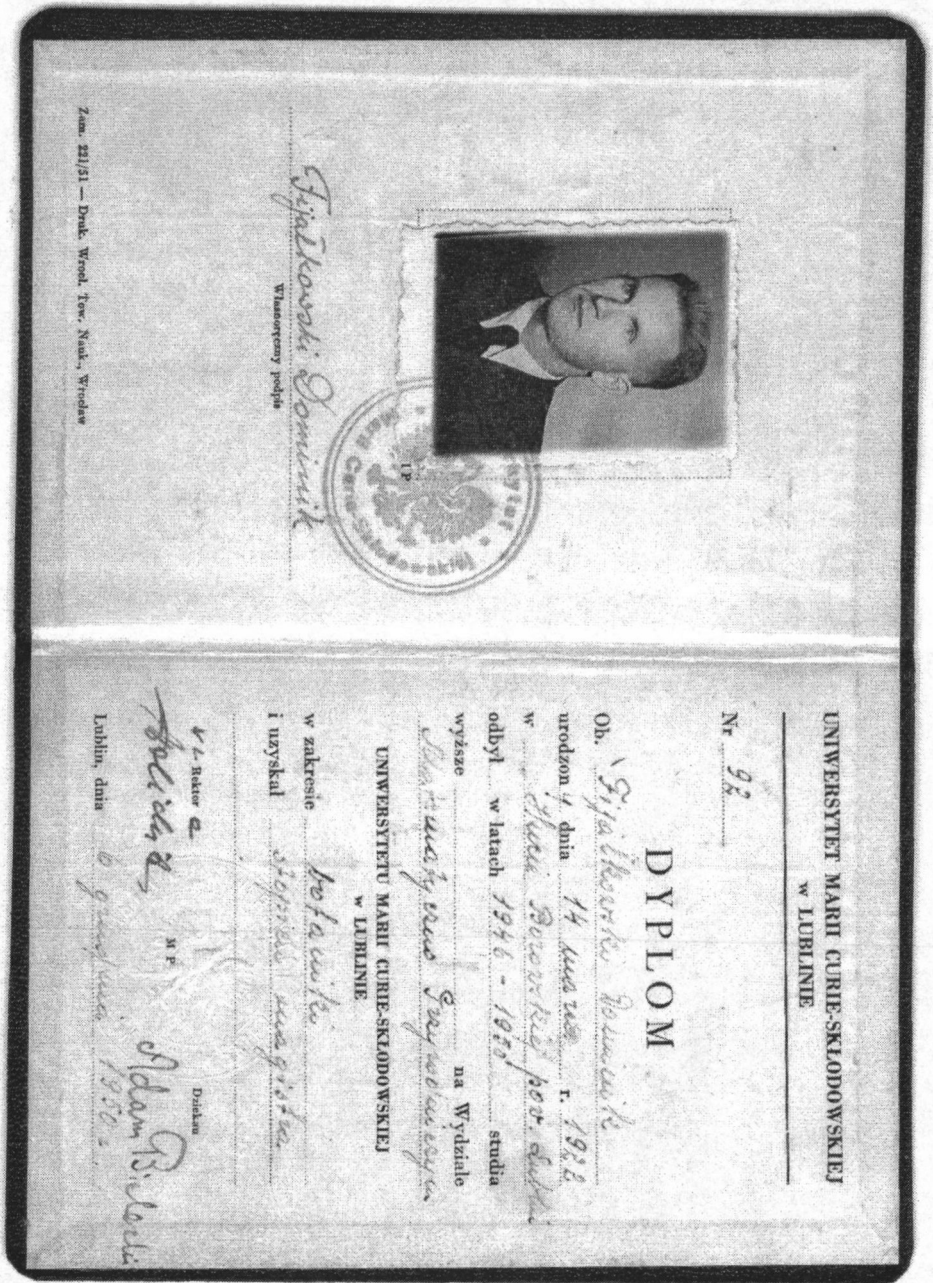
Ryc. 8. Jezioro Długie. Magistrantki w badaniach florystycznych.



Ryc. 9. Immatrykulacja doktorów.



Ryc. 10. Spotkanie z prof. Władysławem Szaferem
na Ogólnopolskim Zjeździe Towarzystwa Botanicznego.



Ryc. 11. Dyplom magisterski.



MINISTER
SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

Nr DUE-II-2/967/62

Warszawa, dn. 30 czerwca 1962 r.

Obywatel
doc. Dominik Fijałkowski
adiunkt
Uniwersytetu
Marii Curie-Skłodowskiej

w Lublinie

Na podstawie art. 91 ustawy z dnia 5 listopada 1958 r. o szkołach wyższych /Dz.U. nr 68, poz. 336/ powołuję Obywatela na stanowisko docenta etatowego w katedrze systematyki i geografii roślin na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Obowiązki i prawa, a w szczególności wymiar zajęć obowiązujących Obywatela jako docenta etatowego, określa ustawa o szkołach wyższych z dnia 5 listopada 1958 r. oraz wydane na jej podstawie przepisy szczególne.

Uposażenie będzie Obywatel otrzymywał w wysokości i na zasadach przewidzianych w przepisach o uposażeniu pracowników nauki szkół wyższych, poczynając od dnia pierwszego najbliższego miesiąca kalendarzowego.

W celu objęcia obowiązków docenta etatowego oraz złożenia ślubowania zechce Obywatel Docent zgłosić się u Rektora Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. -

MINISTER



MINISTER
OŚWIATY I SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

Nr DU-4-19711a-34/71

Warszawa, dn. 8 kwietnia 1971 r.

Obywatel
dr Dominik FIJAŁKOWSKI
profesor nadzwyczajny
Uniwersytet Marii
Curie-Skłodowskiej
w Lublinie

W związku z nadaniem Obywatelowi uchwałą Rady Państwa z dnia 3 marca 1971 r. tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego nauk przyrodniczych - powołuję Obywatela Profesora z dniem 1 kwietnia 1971 r. na podstawie art. art. 78, 87 ust. 1 i 88 ust. 1 ustawy z dnia 5 listopada 1958 r. o szkolnictwie wyższym /Dz.U. z 1969 r. Nr 4, poz. 31/ na stanowisko profesora nadzwyczajnego w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Obowiązki i prawa, a w szczególności wymiar zajęć obowiązujących Obywatela Profesora jako pracownika naukowo-dydaktycznego określa wyżej wymieniona ustawa o szkolnictwie wyższym oraz wydane na jej podstawie przepisy szczegółowe.

Uposażenie służbowe będzie Obywatel Profesor otrzymywał na zasadach i w wysokości przewidzianej dla stanowiska profesora nadzwyczajnego w przepisach o uposażeniu pracowników naukowo-dydaktycznych.

V. M I N I S T E R
[Signature]
Wzł. Drapich


PRZEWODNICZĄCY
RADY PAŃSTWA

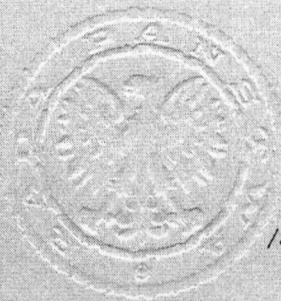
Warszawa, dnia 8 marca 1971 r.

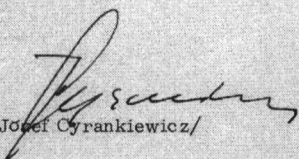
Obywatel

dr hab. Dominik FIJAŁKOWSKI

w Lublinie

Rada Państwa uchwałą z dnia 5 marca 1971 r.
nadała Obywatelowi tytuł naukowy profesora
nadzwyczajnego nauk przyrodniczych.




/Józef Cyrankiewicz/

Ryc. 14. Nominacja na stanowisko profesora nadzwyczajnego.



OBYWATEL

prof.dr hab. Dominik FIJAŁKOWSKI

otrzymuje

NAGRODĘ

MINISTRA
NAUKI, SZKOLNICTWA WYŻSZEGO I TECHNIKI

ZESPOŁOWĄ STOPNIA drugiego

**ZA OSIĄGNIĘCIA W DZIEDZINIE
BADAŃ NAUKOWYCH**

za pracę pt.: "Dokumentacja fizjograficzna ogólnej części terenu LZW - obszar między Łęczną i Trawnikiemami".

WARSZAWA, DNIA 1 października 1978 ROKU



MINISTER

ca J. Kowalski



RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTER
EDUKACJI NARODOWEJ

DNS-II- 5/f /91

Warszawa 1991-06-08

Pan
Prof. dr hab. Dominik FIJAŁKOWSKI

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej
w Lublinie

Na podstawie art. 80 ust. 1 w związku z art. 86 ust. 1 i art. 87 ust. 1 ustawy z dnia 12 września 1990 r. o szkolnictwie wyższym /Dz. U. Nr 65, poz. 385/ mianuję Pana Profesora z dniem 1 czerwca 1991 r. na stanowisko profesora zwyczajnego w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie.

Obowiązki i prawa Pana Profesora określa ustawa o szkolnictwie wyższym oraz wydane na jej podstawie przepisy wykonawcze.

Uposażenie będzie Pan Profesor otrzymywał w wysokości i na zasadach określonych w przepisach o uposażeniu nauczycieli akademickich.

w/z MINISTRA
PODSEKRETA STANU
Romun Ogiński
prof. dr hab. Romun Ogiński



Ryc. 16. Nominacja na stanowisko profesora zwyczajnego UMCS w Lublinie.



RZECZPOSPOLITA POLSKA

MINISTER

EDUKACJI NARODOWEJ

DNS-II-1210-17/E/92

Warszawa, 1992-03-31

Pan

Prof. dr hab. Dominik FIJAŁKOWSKI

Uniwersytet Marii

Curie-Skłodowskiej

w Lublinie

W związku z osiągnięciem przez Pana Profesora wieku emerytalnego, na podstawie art. 95 ust. 2 pkt 2 w związku z art. 96 ustawy z dnia 12 września 1990 r. o szkolnictwie wyższym /Dz.U. Nr 65, poz. 385/ stwierdzam, że stosunek pracy Pana Profesora w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie wygasa z dniem 30 września 1992 r.

Proszę przyjąć wyrazy uznania i serdeczne podziękowanie za wieloletnią, twórczą działalność naukowo-badawczą oraz dydaktyczno-wychowawczą.

Życzę Panu Profesorowi zdrowia i wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.

Wz. MINISTRA
FOKUSKRYTYCZ STANU

Roman Duda
prof. dr hab. Roman Duda



Ryc. 17. Odejście na emeryturę.